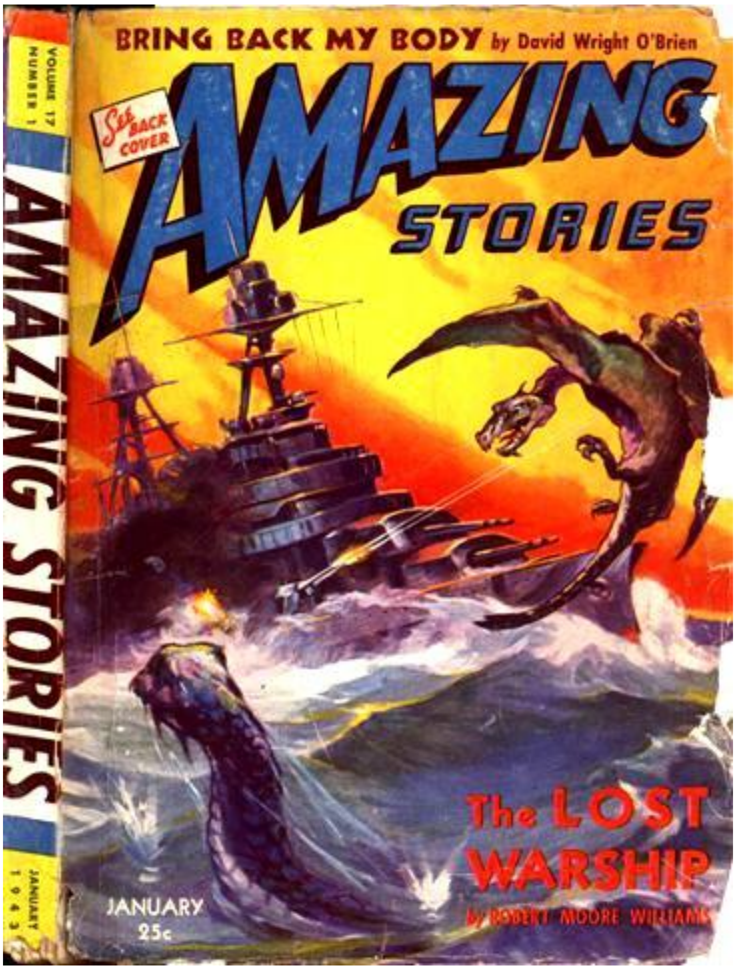

BRING BACK MY BODY by David Wright O'Brien
See BACK COVER
AMAZING STORIES
The LOST WARSHIP
by ROBERT MOORE WILLIAMS
JANUARY
25c
VOLUME 17
NUMBER 1
AMAZING STORIES
JANUARY
1943

Robert Moore Williams

Zaginiony okręt

(The Lost Warship)

Amazing Stories January 1943
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

Na dół leciał deszcz japońskich bomb, potężny wybuch przykrył wszystko… i Idaho przydarzyła się niesamowita rzecz.

Rozdział I

Nad nieruchomym jak tafla szkła morzem, wschodziło słońce. Craig założył nad szalupą osłonę z kawałka żagla, aby nieco ochronić ich przed jego promieniami. Wciągnął go na czubek zaimprowizowanego masztu, rozkładając tak by rzucał cień na szalupę. Wiatru i tak nie było. Było bezwietrznie już od trzech dni.

Craig stanął wyprostowany i omiótł wzrokiem otaczające ich morze. Horyzont był zupełnie czysty. Kiedy usiadł z powrotem, zorientował się, że śpiąca u jego stóp Margy Sharp, właśnie się obudziła.

– Widać tam coś? – wyszeptała.

Pokręcił przecząco głową.

Po tym geście wynędzniała twarz dziewczyny, zaczęła wyglądać na jeszcze bardziej wyczerpaną. Usiadła. Jej wzrok mimowolnie powędrował na stojącą obok Craiga beczułkę z wodą. Oblizała spieczone, popękane wargi.

– Co byś powiedział na małego drinka? – spytała go.

– Ćwierć kubka to wszystko, co mamy na dzisiaj. Chcesz swój przydział teraz, czy poczekasz i wypijesz później?

– Strasznie mi się chce pić – odparła dziewczyna. Obejrzała się szybko do tyłu, na ich towarzyszy na łódce. Wszyscy nadal spali.

– A co byś powiedział na nalanie mi całego kubka? – spytała, a jej śmiałe niebieskie oczy uważnie wpatrywały się w twarz Craiga,

Craig spoglądał w morze.

– Oni wszyscy śpią – szybko dodała dziewczyna. – nigdy się tego nie dowiedzą.

Craig nic nie odpowiedział.

– Proszę – błagała dziewczyna.

Craig siedział w milczeniu. Był wielkim mężczyzną, z imponującą strzechą czarnych włosów i twardymi, szarymi oczyma. Miał na sobie porwane workowate spodnie. Z podwiniętych nogawek wystawały gołe stopy. Nie miał koszuli. Do pasa przypięta była kabura z ciężkim pistoletem.

– Posłuchaj, wielki chłopcze – przypochlebiała mu się dziewczyna. – Ja i ty, dobrze byśmy do siebie pasowali.

– A skąd ten pomysł? – spytał Craig.

To najwyraźniej nie była odpowiedź, jakiej się spodziewała. Wydawało się że ją to zaskoczyło. Przez moment jej oczy uważnie mierzyły mężczyznę.

– Szukałeś czegoś, czego strasznie pragnąłeś – powiedziała. – Nie udało ci się tego znaleźć. Ponieważ nie znalazłeś, więc stałeś się zgorzkniały.

Jej słowa spowodowały, że Craig poczuł się niepewnie. Trafiały zbyt blisko prawdy. Poprawił się na ławce.

– A więc, co? – spytał.

– A więc, nic – odpowiedziała dziewczyna. – Poza tym, że oboje jesteśmy pod tym względem do siebie podobni.

– I ponieważ oboje jesteśmy podobni, możemy się razem dogadać? – dopytywał się.

– Tak – odparła. Nawet nie próbowała ukryć tęsknoty w swoich oczach. – Posłuchaj Craig, my oboje jesteśmy twardzi. – Pogardliwie wskazała ręką w stronę innych obecnych na łodzi. – *Oni* tacy nie są.

– Naprawdę nie są?

– Nie. – Jej słowa padały teraz szybciej, tak jakby zdecydowała się już ostatecznie powiedzieć, to co musiała powiedzieć, i niech diabli wezmą wszelkie możliwe konsekwencje. – Oni poumierają. Och, nie musisz kręcić głową. Nie nabrałeś mnie ani na minutę, tymi twoimi bajeczkami, że uratuje nas jakiś przepływający w pobliżu statek. Nie będzie żadnego statku. Jedyną naszą nadzieją jest, że morze zniesie nas na brzeg jakiejś wyspy. Ale zanim znajdziemy wyspę, może minąć wiele dni. Nie wystarczy wody, aby nas wszystkich utrzymać przy życiu przez tak długi czas. Tak więc…

Nie udało jej się dopowiedzieć do końca wszystkiego co zaczęła mówić. Craig przyglądał się jej zimnymi, nie zdradzającymi żadnych uczuć oczyma. Opuściła wzrok.

– Tak więc, dlaczego nie podzielić wody tylko miedzy ciebie i mnie, i pozwolić pozostałym umrzeć z pragnienia, ponieważ my jesteśmy twardzi, a oni nie są? Czy to właśnie chciałaś powiedzieć? – spytał ją.

– Nie… – Skuliła się. – N-nie. – Jej twarz stwardniała w wyzwaniu. – Tak! – rzuciła ostro. – To właśnie chciałam powiedzieć. Dlaczego mamy się o nich troszczyć? Nic im nie jesteśmy winni. Dlaczego więc mielibyśmy umierać z nimi? Co oni –– albo ktokolwiek inny –– kiedykolwiek dla nas zrobili? Podam ci odpowiedź. Nic. Nic! *Nic*!

– Tak więc, ponieważ oni nigdy dla nas niczego nie zrobili, i ponieważ jesteśmy silniejsi, to powinniśmy pozwolić im umrzeć. Czy o to ci chodziło?

– T-tak.

Craig siedział przez chwilę w ciszy. Przez głowę przemknęły mu ciemne myśli, ale nie okazał tego na twarzy.

– To ja mam broń – powiedział w końcu. – Jedyną broń na łodzi. To czyni mnie tutaj szefem. Dlaczego nie miałbym zatrzymać całej wody dla siebie samego, i pozwolić reszcie z was umrzeć z pragnienia?

– Och, nie zrobiłbyś tego! – Na jej twarzy pojawił się strach.

– Dlaczego miałbym tego nie zrobić? – prowokował Craig.

– Ponieważ… och, ponieważ…

– Co masz mi do zaoferowania, co byłoby warte kubka wody? – dopytywał się.

– Co ja mogę mieć takiego, czego byś pragnął? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. Jej oczy utkwione były pożądliwie w twarzy Craiga.

– Co ty masz takiego, czego bym pragnął! Och, niech to diabli, kobieto… – Wielki mężczyzna skręcił się z zakłopotaniem. Uniknął jej spojrzenia, spoglądając zamiast tego na szklaną taflę morza.

– Czy to już czas, żeby wstawać? – zapytał jakiś nowy głos. To była pani Miller, która leżała w środkowej części łodzi. Podniosła się i uklękła, rozglądając się dookoła po płaskim morzu. – Wydawało mi się… – wyszeptała. – Przez moment myślałam, że znowu jestem w domu. Chyba musiało… mi się śnić. – Przycisnęła dłonie do oczu, aby osłonić je przed widokiem morza.

– Czy to czas, żebyśmy mogli się napić? – powiedziała, spoglądając w stronę Craiga.

– Nie – odparł.

– Ale zawsze, rano możemy się napić – zaprotestowała pani Miller.

– Nie tego ranka – oznajmił Craig.

– Czy mogę zapytać, dlaczego? Czy… czy nie mamy już wody?

– Mamy jeszcze wodę – drewnianym głosem odparł Clark.

– Dlaczego więc nie mogę dostać choć trochę? Ja… no cóż, chyba nie muszę panu mówić, dlaczego potrzebuję się napić.

Powód dla którego potrzebowała wody, był oczywisty. Pani Miller, bardziej niż ktokolwiek na łodzi, potrzebowała się napić.

– Przykro mi – Craig pokręcił głową.

– Dlaczego?

– No cóż, jeśli już musi pani wiedzieć – wyjaśnił z zakłopotaniem Craig, – Margy i ja zdecydowaliśmy się zachować całą wodę tylko dla siebie.

– Niech cię diabli, Craig! – szybko zawołała Margie.

– Wy dwoje zdecydowaliście się… zabrać dla siebie… całą wodę? – Pani Miller powiedziała to bardzo powoli, jak gdyby próbując zrozumieć znaczenie poszczególnych słów. – A co… co z całą resztą nas?

– Dla reszty z was, to zła wiadomość – stwierdził Craig. Zdawał sobie sprawę, że Margy Sharp wbija w niego w niego szaleńcze spojrzenie, ale zignorował ją. Wziął cynowy kubek i podstawił go pod kurek w ścianie beczki. Na dół popłynął cienki strumyk wody. Wypełnił kubek do połowy i wręczył go Margy Sharp.

– Wypij – polecił. – Podwójne przydziały dla ciebie i dla mnie.

Dziewczyna wzięła kubek. Popatrzyła na Craiga, a potem obrzuciła szybkim spojrzeniem panią Miller. Jej spękane wargi zadrżały, ale spomiędzy nich nie wydobył się żaden dźwięk. Utkwiła wzrok w morzu, a Craig dostrzegł że w pewnej chwili jej gardło poruszyło się, jakby próbowała przełknąć ślinę.

Pani Miller nic nie mówiła. Wpatrywała się tylko w Craiga i dziewczynę, tak jakby nie rozumiała tego co widzi.

– Niech cię diabli, Craig – ostro rzuciła Margy Sharp.

– No dalej, weź i wypij – odparł wielki mężczyzna. – Przecież właśnie tego chciałaś, nieprawdaż?

– T-tak.

– No to pij!

– Och, niech cię diabli… – W oczach dziewczyny pokazały się łzy. Podczas gdy Craig obserwował wszystko martwym wzrokiem, odwróciła się i popełzła do tyłu, do miejsca w którym siedziała pani Miller.

– Craig tylko żartował – delikatnie wyjaśniła. – To wielki kawalarz. Chciał powiedzieć, że będzie miała pani wodę przez cały czas. Proszę, pani Miller. To dla pani.

– Dziękuję ci, moja droga, dziękuję z całego serca. – Pani Miller wolno wypiła wodę, małymi łyczkami. Margy Sharp przyglądała się jej. Craig widział wyraźnie drżenie dziewczyny. Kiedy znikła ostatnia kropla, przyniosła kubek z powrotem Craigowi… i rzuciła mu nim w twarz.

– Mogłabym cię zabić! – wysapała.

– Dałem ci tylko to, czego chciałaś – stwierdził. Jego głos nadal brzmiał bezosobowo, ale z oczu zniknęła twardość.

Szlochając, Margy Sharp upadła na dno łodzi. Ukryła twarz w dłoniach.

– Proszę – powiedział Sharp.

Spojrzała w górę. Nalał jedną czwartą kubka wody i trzymał w wyciągniętej w jej stronę ręce.

– Ja… ja oddałam swój przydział pani Miller – szepnęła.

– Wiem, że to zrobiłaś – odparł Craig. – To jest mój przydział.

– Ale…

– Od wody tylko żaby w brzuchu się lęgną – powiedział. – Weź.

Dziewczyna wypiła. Popatrzyła na Craiga. W jej oczach błyszczały gwiazdy.

Nachylił się do niej i poklepał ja po ramieniu.

– Uda ci się, Margy – zapewnił ją. – Uda ci się.

Łódź unosiła się na gładkim morzu. Długie, oceaniczne fale Pacyfiku, zmierzające bez celu ku jakimś nieznanym brzegom, rytmicznie unosiły ją i opuszczały, w górę i w dół, stwarzając złudzenie poruszania się. Pusta metalowa puszka, wyrzucona za burtę trzy dni temu, ciągle pływała obok łodzi. Nad powierzchnią, skacząc z fali na falę, przelatywała ławica latających ryb, uciekających przed jakimś nieznanym pościgiem.

Oprócz Craiga, Margy Sharp i pani Wilson, na łodzi były jeszcze trzy osoby, a dokładniej trzej mężczyźni. Byli to: młody, jasnowłosy Anglik;

Michaelson, swoisty człowiek, który aż do obecnej chwili zdawał się ciągle jeszcze nie rozumieć, co się z nimi stało, ani o to dbać; i Voronoff, którego główną cechą charakterystyczną, była para ukradkowo spoglądających oczu. Anglik był ranny. Usiadł i patrzył w górę, w bok, ponad burtą łodzi. Nagle wskazał coś ręką i zawołał:

– Patrzcie! Patrzcie! Tam jest smok! Latający smok!

– Spokojnie, stary – delikatnie powiedział Craig. Od dwóch dni Anglik miał majaki. Zakażenie jakie rozwinęło się w jego ranie, definitywnie przekraczało możliwości leczenia, prostymi środkami medycznymi, znajdującymi się pośród zapasów ratunkowych szalupy.

– To jest smok! – wykrzyknął młody człowiek. – Ma zamiar nas złapać!

Wpatrywał się w coś, zbliżającego się do nich w powietrzu, co tylko on był w stanie zobaczyć.

Craig wyciągnął pistolet.

– Jeżeli zbliży się do nas, to go zastrzelę – powiedział, pokazując broń. – Popatrz, tutaj mam pistolet.

– On nie zatrzyma *tego* smoka! – upierał się Anglik. – Och… Och… – Oczy rozszerzyły mu się z przerażenia, kiedy przyglądał się nadciągającemu z nieba niebezpieczeństwu. Przekręcił się i spadł na spód łodzi osłaniając głowę rękoma. W podobny sposób rzucali się na ziemię ludzie, złapani bez ochrony na otwartej przestrzeni, przez nalot bombowy, kiedy czekali na opadające bomby. W kilka minut później, Anglik uniósł wzrok. Na jego twarzy widoczna była ulga.

– Odleciał sobie – stwierdził. – Przeleciał nad nami, i nas nie dostrzegł.

– Nie było żadnego niebezpieczeństwa – delikatnie uspokoił go Craig. – To był oswojony smok, Ten by nas na pewno nie skrzywdził.

– Nie ma żadnych oswojonych smoków – kpiąco odparł młody człowiek. Ponownie zaczął wpatrywać się w morze. – Tam jest wąż! – wrzasnął na całe gardło. – Olbrzymi wąż! Właśnie wystawił nad wodę swój łeb…

– Biedny dzieciak – szepnęła Margy Sharp. – Nie możemy czegoś dla niego zrobić?

– Obawiam się, że nie – westchnął Craig. – Ale możesz dać mu trochę wody. – Nalał do kubka hojną rację i obserwował jak dziewczyna zaniosła wodę młodemu człowiekowi, który ją łapczywie wypił.

Histeryczne krzyki młodego człowieka obudziły Michaelsona i Voronoffa, którzy podnieśli głowy i usiedli. Michaelson rozglądał się obojętnym wzrokiem wokół siebie, jak ptak który obudził się jakimś dziwnym lesie i zastanawia się, jak się tutaj znalazł. Potem wyciągnął z kieszeni mały, czarny notatnik i zaczął go studiować. Przez cały czas, od znalezienia się na pokładzie szalupy, studiował zawartość swojego notatnika, ignorując wszystko inne.

– Jaki sens ma marnowanie wody na *niego*? – ponuro spytał Voronoff, wskazując głową w kierunku Anglika. Margy Sharp trzymała kubek przy wargach młodego człowieka.

– Słucham? – Craig był zaskoczony.
– On już jest załatwiony – stwierdził Voronoff. Zdawał się uważać, że jego stwierdzenie jest wystarczającym wytłumaczeniem. Nie próbował szerzej go objaśnić.
W oczach Craiga ponownie pojawił się zimny blask.
– Tak więc, po co marnować wodę na niego? – dopytywał się. – Czy to chciałeś powiedzieć?
– Dokładnie to właśnie chciałem powiedzieć – odparł Voronoff. – Dlaczego mamy marnować wodę na martwego człowieka? I tak nie mamy jej za dużo.
– Idź do diabła! – pogardliwie rzucił Craig.
– Możesz tak mówić, ponieważ to ty masz broń – powiedział Voronoff.
Twarz Craiga zrobiła się szara z gniewu, ale opanował się.
– Jeżeli myślisz, że uda ci się szyderstwami skłonić mnie do odłożenia pistoletu, to grubo się mylisz – oznajmił. – W międzyczasie wydałem wodę wszystkim pozostałym, i zakładam że również ty i Michaelson będziecie chcieli otrzymać swój przydział. Jeżeli łaskawie raczycie podejść tu na rufę, po kolei, to pewnie zobaczę jak wy również go bierzecie.
– Woda? – Powiedział Michaelson nieobecnym tonem. W ogóle nie zwrócił uwagi na scysję. Kiedy usłyszał swoje nazwisko, podniósł głowę i uśmiechnął się. – Woda? O, tak, wydaje mi się, że chciałbym trochę.
Przeszedł na rufę, i Craig ponownie podstawił cynowy kubek pod kurek w beczce. Woda wypływała bardzo powoli. Craig przyglądał się temu z zakłopotaniem. Struga skurczyła się do strużki, a potem w ogóle przestała płynąć.
Przerażenie zacisnęło obręcz wokół jego serca. Podniósł beczułkę, potrząsnął nią, a potem ją odstawił.
Michaelson przyglądał się kilku kroplom w kubku.
– Co się stało? – spytał. – Czy to wszystko co dostanę?
– Beczułka jest prawie pusta! – Craig niemal zadławił się swoimi słowami.
– Pusta? – Michaelson powtórzył, jakby w oszołomieniu. – Ale wczoraj mówiłeś przecież, że jest w niej jeszcze jedna czwarta!
– To było wczoraj – odparł Craig. – Dzisiaj w beczułce pozostało nie więcej niż dwa kubki wody.
Kiedy to powiedział, na łodzi zapadła cisza. Czuł wyraźnie jak cztery pary oczu wpatrują się w niego bez przerwy. Podniósł beczułkę, sprawdzając, czy w którymś miejscu nie przecieka. Nie. Kiedy ją odstawił, oczy ciągle się w niego wpatrywały. Teraz widać w nich było oskarżenie.
– *To ty* byłeś samozwańczym strażnikiem zapasów wody – Voronoff wypluł z siebie te słowa.
Craig nic nie odpowiedział.
– Czy ostatniej nocy, kiedy spaliśmy, nie poczęstowałeś się czasami wodą? – dopytywał się Voronoff.
– Nie zrobiłem tego – gorąco zawołał Craig. – Niech cię diabli…
Voronoff zachował milczenie. Craig rozejrzał się dookoła po łodzi.
– Nie wiem co się stało z tą wodą – powiedział. – Ja jej nie wypiłem, to pewne…

– A więc, co się z nią stało? – odezwał się Michaelson.

Zdaje się, ze wypowiedział na głos pytanie, które tkwiło w umysłach wszystkich. Jeżeli Craig nie wypił tej wody, to gdzie ona się podziała? Zniknęła, beczułka nie przeciekała, a on miał jej pilnować.

– A ja już myślałam, że jesteś przyzwoitym gościem – stwierdziła Margy Sharp, opuszczając tył łodzi.

– Daję słowo, że nie wypiłem tej wody – odparł Craig.

– Słowo? – zadrwiła z niego. – Teraz się nie dziwię, że byłeś taki szczodry, oddając mi dzisiejszego ranka swój przydział. Już wcześniej napiłeś się tyle, ile chciałeś.

Jej głos był gorzki i twardy.

– Jeżeli chcesz w ten sposób myśleć, to ja nic na to nie mogę poradzić – powiedział Craig.

– Mam nadzieję, że będziesz czuł się dobrze, żyjąc ciągle, i patrząc jak reszta z nas umiera z pragnienia – rzuciła dziewczyna.

– Zamknij się!

– Nie, nie zamknę się. Będę mówiła to, co mi się podoba. Nawet ty mnie nie powstrzymasz. Słyszałeś co powiedziałam? Nie powstrzymasz mnie!

Była na skraju histerii. Craig pozwolił jej się wykrzyczeć. Nie mógł zrobić niczego, aby ją potrzymać, poza użyciem siły. Siedział milcząco i niewzruszenie na swoim siedzeniu. Ale poza maską oczu płonął w nim potężny ogień. W jego głowie krążyła tylko jedna myśl: Co się stało z wodą?

Łódź dryfowała po nagle sposępniałym morzu. Michaelson po próbie zrozumienia tego co się wydarzyło, i fiasku podjętych w tym celu wysiłków, powrócił do studiowania liczb w notatniku. Voronoff ukradkiem przypatrywał się Craigowi. Anglik zapadł w śpiączkę. Pani Miller rozparła się na środku łodzi. Obserwowała horyzont, wypatrując żagla, obłoku dymu, widoku jakiegoś niskiego brzegu. Margy Sharp leżała u stóp Craiga. Nie ruszała się. Od czasu do czasu jej ramiona drżały, jakby wstrząsał nią szloch.

– No cóż – rozmyślał Craig. – Wydaje mi się, że to już. Wydaje mi się, że to jest kres wszystkiego. Że to jest punkt, w którym wychodzimy z gry. Zastanawiam, się, co się dzieje, kiedy człowiek umiera?

Wzruszył ramionami. Nigdy w życiu nie przejmował się tym, co się z nim stanie kiedy umrze, a teraz było już za późno, żeby zaczynać.

Tak bardzo był zanurzony w swoich rozmyślaniach, że nie usłyszał samolotu, dopóki nie przeleciał on tuż nad ich głowami. Ryk silnika poderwał mu głowę do góry. To był amerykański samolot marynarki wojennej, zgodnie z tym co mówiły oznakowania na jego skrzydłach.

Ludzie w łodzi zerwali się na nogi, i zaczęli ochryple się przekrzykiwać. Pilot pomachał im skrzydłami i odleciał.

Na tle odległego horyzontu, pojawiła się potężna sylwetka nadbudówek okrętu. Zbliżał się do nich coraz bardziej. Craig przyłożył dłoń do nosa i zagrał na nim morzu.

– Niech cię diabli, pokonaliśmy cię – powiedział.

Ale wiedział, że wcale nie pokonali morza, Szczęście, i tylko ono, sprowadziło ten okręt w ich pobliże. Szczęście miało to do siebie, że przez jakiś czas mogło sprzyjać. Potem zazwyczaj przestawało.

Rozdział II

Kiedy skoczyło słońce

– Kapitan chciałby się z panem zobaczyć, sir – oznajmił marynarz.

Craig zgasił papierosa i wstał. Zjadł już i napił się, ale oszczędnie, a prawdę mówiąc to bardzo oszczędnie. Próbowali go wsadzić razem z innymi do izby chorych, jednak szorstko odmówił. Nie było mu nic takiego, czego by nie mogła wyleczyć odrobina jedzenia i wody.

Poszedł za marynarzem do kabiny kapitana. Nieświadomie oceniał w myślach stan statku. To był pancernik, Idaho, jeden z nowej klasy. Craig domyślał się, że stanowił on część zespołu uderzeniowego, dokonującego zwiadu na południowym Pacyfiku. Zauważył, że był on dobrze utrzymany i nieźle obsadzony. Ludzie wykonywali swoje zadania z energią, która była pokrzepiająca.

Kapitan był wysokim mężczyzną. Kiedy Craig wszedł do jego kajuty, wstał z krzesła, a następnie uśmiechnął się i wyciągnął dłoń w jego stronę.

– Jestem kapitan Higgins – przedstawił się.

Craig przyjrzał mu się, zamrugał oczyma, a potem szeroko się uśmiechnął. Pochwycił wyciągniętą rękę.

– Cześć, Śmierdzielu – powiedział. – Dobrze cię znowu zobaczyć.

– Śmierdzielu! – Higgins niemal się udławił. – Ależ proszę pana…

– Tylko się nie zapowietrz – powiedział Craig, śmiejąc się.

Higgins wpatrywał się w niego. Krok po kroku, na twarzy kapitana zaczął świtać wyraz rozpoznania.

– Craig! – wyszeptał. – Winston Craig! No, to zasługuje na drinka.

– Zasługuje, rzeczywiście – odparł Craig.

Kapitan Higgins wyciągnął whiskey. Była to szkocka. Wypili bez dodatków.

– Gdzie się podziewałeś na tej pięknej Ziemi? – spytał go Higgins.

– Złoto – wyjaśnił Craig. – Borneo. – Jego czoło przecięła zmarszczka. – Z północy, przybyli tam nasi mali smagli bracia.

– Wiem – ponuro odparł Higgins. – Pojawili się także w Pearl Harbor, ci mali… A więc pogonili cię z Borneo, co?

– Wydostałem się stamtąd – powiedział Craig.

– Ale skąd się wziąłeś w tej szalupie? Co się stało?

– Stały się bombowce Japońców. Przechwyciły statek, na którym płynąłem. Na szczęście udało nam się spuścić parę szalup…

– Rozumiem. A gdzie są inne łodzie?

– Rozstrzelane z karabinów maszynowych – wyjaśnił Craig. – Nas skrył deszczowy szkwał, który właśnie nadszedł, tak że nie mogli się rozejrzeć i popracować też nad tą łodzią, w której byłem. – Wzruszył ramionami. – Byliśmy w tej szalupie przez dziesięć dni. Liczyłem już poszczególne klejnoty na Perłowych Bramach, kiedy w pobliżu pojawił się twój zespół uderzeniowy. Starczy jednak już o mnie. A co się z tobą działo?

Higgins wzruszył ramionami.

– Tak jak widzisz – odparł.

Craig skinął głową. Widział całkiem sporo. Ten chłopak, który podczas lat spędzonych w Annapolis, znany był jako Śmierdziel, teraz został szefem sporego oddziału wojska.

– Słyszałem, że zrezygnowałeś ze służby w niecały rok po tym, jak ukończyliśmy Akademię – zauważył Higgins.

– Tak – odparł Craig.

– Czy będziesz miał coś przeciw, jeżeli zapytam dlaczego?

– Nie, zupełnie nic. Po prostu chciałem przeżyć trochę przygód, a nie wyglądało na to, żeby Marynarka mogła mi je zapewnić. Tak więc…

Craig opowiedział tylko o pewnych sprawach. Było również wiele innych ważnych powodów jego odejścia, które przemilczał. Był absolwentem Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis. On i Śmierdziel Higgins ukończyli ją w tej samej grupie. Higgins pozostał w Marynarce. Craig nie był w stanie znieść bezczynności, związanej z przynależnością do organizacji przeznaczonej do walki, która nie miała żadnej walki do stoczenia. Był urodzonym włóczęgą, którego nieustannie swędziały nogi, aby zobaczyć to, co było za najdalej położonymi horyzontami.

– A więc zostałeś poszukiwaczem złota? – spytał go kapitan Higgins.

– Tak.

– A co masz zamiar zrobić teraz, jeżeli mogę zapytać?

– No cóż – odparł Craig, – byłem właśnie w drodze powrotnej do Stanów, aby ponownie się zaciągnąć, jeżeli tylko będą mnie chcieli.

Higgins uśmiechnął się szeroko.

– Jeżeli będą cię chcieli? Przyjmą cię z otwartymi rękoma. Mogliby wykorzystać milion takich jak ty.

– Dzięki – powiedział Craig.

Zabrzmiało pukanie do drzwi.

– O co chodzi? – spytał Higgins wchodzącego adiutanta.

– Jeden z ludzi, których podjęliśmy z szalupy, chce się z panem widzieć, sir.

– A o co chodzi?

– Nie chciał powiedzieć, sir. Nalega tylko, że to jest sprawa najwyższej wagi. Nazywa się Michaelson, sir. Czy mam kazać przyprowadzić go do pańskiej kajuty, sir?

– Bardzo dobrze. Zobaczę się z nim natychmiast.

Adiutant energicznie zasalutował i wyszedł.

– Kim jest ten Michaelson? – zapytał Higgins Craiga.

– Nie wiem – wzruszył ramionami Craig. – Po prostu jeden z pasażerów obecnych na szalupie. Nie wypytywaliśmy się nawzajem o życiorysy. Wszystko co mogę o nim powiedzieć, to jedynie, że jest dziwnym człowiekiem. – Craig opowiedział jak Michaelson nieustannie studiował zawartość notatnika, który miał przy sobie.

Kapitan zmarszczył brwi.

– Jest pewien Michaelson, który jest światowej sławy naukowcem – zastanawiał się. – Jednak nie przypuszczam, aby to mógł być on.

– Wcale niewykluczone – sprostował Craig. – To są południowe morza. Nigdy nie wiesz, kto się tutaj kim okaże, albo co się może wydarzyć w przyszłości. – Raptownie przerwał. Przez statek przepływała fala jakichś nowych odgłosów.

Minęły już całe lata, odkąd słyszał te dźwięki po raz ostatni, ale pomimo tego natychmiast je rozpoznał. Wezwania na stanowiska bojowe! To mogło oznaczać tylko jedno. Idaho wchodził do akcji. Na tę myśl przez krew Craiga przepłynęło coś ekscytującego. Zwrócił pytający wzrok w stronę kapitana.

Higgins już był przy telefonie.

– Zbliża się grupa bombowców Japońców – poinformował, odwieszając słuchawkę na haczyku. – Chodźmy.

To był prawdopodobnie pierwszy przypadek w historii marynistyki, że bosonogi mężczyzna z gołą głową, którego jedyną częścią ubioru, była para brudnych portek, przyłączył się na mostku kapitańskim, do oficera dowodzącego pancernikiem. Kapitana Higginsa nie obchodziło co Craig ma na sobie, a jego oficerowie, nawet jeżeli ich to obeszło, to byli zbyt uprzejmi, aby to okazać. W każdym razie ich również nie mogło to obejść zbyt poważnie. Mieli inne rzeczy na głowie.

Daleko, na niebie, Craig mógł dostrzec, co zajmuje myśli oficerów. Rzędy małych, czarnych kropek. Były tak daleko od nich, że wyglądały jak komary. Bombowce Japońców. Wielkie sztuki. Czterosilnikowe.

Tony sygnałów wezwań na stanowiska, ciągle jeszcze ryczały na całym okręcie. Idaho, jakby pod dotknięciem magicznego zaklęcia, budził się do życia. Czterdzieści pięć tysięcy ton stali, wchodziło do akcji. Craig czuł pulsację silników, coraz silniej kręcących śrubami. Statek ruszył szybciej naprzód. Tysiąc pięciuset ludzi, wskakiwało na swoje stanowiska. Lufy dział w wielkich wieżyczkach, obracały się na wszystkie strony, z nadzieją że gdzieś spoza horyzontu pokaże się coś, co może stać się ich celem. Idaho był nowym statkiem. Był wręcz najeżony uzbrojeniem przeciwlotniczym. Czarne kreski wielolufowych działek szybkostrzelnych wykręcały się dookoła, szperając po całym niebie.

Jeden z oficerów przyglądał się nieprzyjacielowi przez lornetkę.

– Jest ich siedemnaście, sir – powiedział. – Nie jestem jeszcze pewien, ale wydaje mi się, że za pierwszą falą bombowców, podąża następna.

Idaho było częścią zespołu uderzeniowego, w skład którego wchodził lotniskowiec, krążowniki i kilka niszczycieli. Craig dostrzegał lotniskowiec,

płynący w pewnej odległości od nich. Już zmienił kurs, zataczając koło. Wzdłuż jego pokładu pędziły czarne komary, wyskakując po kolei w niebo. Startowały samoloty myśliwskie. Krążowniki i niszczyciele zajmowały określone z góry pozycje, dookoła lotniskowca i Idaho, aby dodać siłę swojego ognia, do zapory przeciwlotniczej stawianej przez działa znajdujące się na pokładach wielkich okrętów.

– Trzy minuty – powiedział ktoś opanowanym głosem. – Rozpoczęli swój nalot.

Obrona przeciwlotnicza zaczęła prowadzić ogień zaporowy. Craig wciągnął głębszy oddech i zacisnął dłonie na uszach. Odszedł z Marynarki jeszcze przed pojawieniem się lotnictwa. Odgłos ryku wielkich dział w ich wieżyczkach, był dla niego czymś znajomym, ale było to jego pierwsze doświadczenie z działkami przeciwlotniczymi. Huk był zupełnie ogłuszający. Gdyby furię setki burz z piorunami, skoncentrować na jednym obszarze, to porażające tornado dźwięku i tak nie dorównywałoby grzmotowi dział. Eksplozje łomotały mu w czaszce, powodując że zęby dzwoniły w ich rytm. Czuł drgania pokładu pod stopami.

Wysoko na nieboskłonie, ponad ich głowami, pojawiły się czarne punkciki, jak kwiaty śmierci rozkwitające na niebie.

Bombowce ciągle się zbliżały.

Wybuchy pocisków artylerii przeciwlotniczej przesunęły się na ich szlak. Śmierć wyciągnęła ręce wysoko w niebo, przeczesując je szponiastymi pazurami, w poszukiwaniu czarnych sępów, pędzących na skrzydłach wiatru. Sięgnęła i znalazła swój cel. Z jednego z samolotów buchnął gwałtownie grzybiasty kłąb dymu.

Craig wiedział, że to było bezpośrednie trafienie, najwidoczniej w zasobniki z bombami, które spowodowało eksplozję przenoszonych w nich ładunków. Na niebie zawisły szczątki samolotu, powoli opadając w stronę morza.

Powyżej zapory przeciwlotniczej, zatańczyły w słońcu malutkie komary –– samoloty myśliwskie. Zanurkowały w dół.

Nagle z formacji wypadł kolejny bombowiec, próbował do niej dołączyć, ale mu się nie udało. Odpadło mu skrzydło. Bombowiec zaczął szaleńczo wirować.

Czarny dym buchnął z trzeciego samolotu. Zaczął szybko tracić wysokość.

Pozostałe nadal leciały swoim kursem.

Ma mostku nagle pojawił się Michaelson.

Craig nie wiedział, jak się tutaj dostał, ale był tu i skakał dookoła, wymachując w powietrzu swoim notatnikiem. Michaelson wykrzykiwał coś na cały głos.

– …Niebezpieczeństwo!… Musicie stąd uciekać…

Craig pochwycił tylko pojedyncze wykrzykiwane słowa. Grzmiący huk zaporowego ognia artylerii przeciwlotniczej, pochłonął resztę.

Nikt nie zwracał na Michaelsona żadnej uwagi. Wszyscy patrzyli w niebo.

Samoloty wypuściły swoje bomby.

Z jakiegoś powodu, nie zaatakowały naturalnego celu, lotniskowca. Być może nalot na lotniskowiec miała wykonać druga fala. Pierwsza z nich zbombardowała pancernik.

Ich celem było Idaho.

Craig czuł drżenie wielkiego statku, który próbował zmienić kurs, aby uniknąć bomb. Niszczyciel byłby w stanie obrócić się niemal w miejscu, ale 35 000 ton stali nie może skręcić tak łatwo.

Bomby spadały coraz niżej. Craig dostrzegał je w powietrzu, małe punkciki, nieustannie rosnące coraz bardziej. Myśliwce wyrwały w formacji bombowców wielkie dziury. Niewiele z samolotów Japońców w ogóle wróci do bazy. Ale wykonały już swoje zadanie.

Bomby uderzyły.

Wybuchły w nieregularnym wzorcu, wszędzie dookoła statku. Cztery, czy pięć z nich, były to bardzo bliskie pudła, ale nie było żadnego bezpośredniego trafienia. Z powierzchni morza wystrzeliły wielkie fontanny wody. Wydawało się, że wokół horyzontu przebiegła fala płomieni. Był to dziwny, drżący, jaskrawy, niebieski ogień. Wyglądał jak wyładowanie jakiegoś gigantycznego łuku elektrycznego.

Nawet przez ryk artylerii przeciwlotniczej, Craig usłyszał rozdzierający dźwięk. W jakiś sposób przypominał on odgłos darcia kawałka materiału. Tylko do tego, aby dźwięk był taki głośny jak ten, musiałby to być naprawdę wielki kawałek, a ktoś kto go rozdzierał, byłby pewnie olbrzymem.

Niebieskie światło stało się bardziej intensywne. Płonęło tak jaskrawo, że stało się niemożliwe do zniesienia.

Równocześnie, przeskoczyło słońce!

– Zaczynam wariować! – przez głowę Craiga przeleciała myśl. Zastanawiał się, czy to któraś z bomb uderzyła w statek. Czy to był jakiś koszmar nadchodzący wraz ze śmiercią? Czy umarł w ułamku sekundy rozdarty na kawałki, a jego rozpadający się umysł sygnalizował mu wstrząsający fakt śmierci, mówiąc że słońce skacze na niebie?

Przecież słońce nie mogło przeskoczyć.

A jednak *przeskoczyło*. Przedtem było niemal bezpośrednio nad ich głowami. Teraz znajdowało się na niebie dwie godziny dalej, w kierunku zachodu.

Przez dziób statku przewaliły się kaskady wody. Ponad pokładem przetoczyły się fale. Wydawało się, że po pokonaniu kilku stóp Idaho musi zatonąć. Po chwili jednak dała o sobie znać jego pływalność, i statek spróbował wyciągnąć się z morza. Wywalczył sobie drogę do góry, podnosząc się, pomimo ciężaru zalewającej go wody.

Wiał potężny wiatr. Przed chwilą niemal w ogóle nie było wiatru, a teraz na nadbudówkach okrętu wył z siłą, na poziomie huraganu.

Na morzu przewalały się olbrzymie fale. Chwilę temu morze było gładkie jak tafla szkła. Teraz wszędzie pokrywały je białe grzebienie.

Najpierw wybuchły bomby, potem zapłonęło niebieskie światło, a jakiś olbrzym rozdarł niebo na części. Następnie pojawiła się znikąd wichura, a morze samo pokryło się białymi czapami fal, no i skoczyło słońce.

Craig spoglądał w niebo, wypatrując drugiej fali bombowców. Powietrze wypełniały jedynie szybko przemykające chmury. W zasięgu wzroku nie było żadnych samolotów.

Baterie przeciwlotnicze, nie mając celów, nagle przerwały ogień.

Nie licząc wycia wiatru na nadbudówkach, na statku panowała cisza. Była tak ciężka, że aż bolały od niej uszy. Oficerowie na mostku stali bez ruchu, jak lodowe posągi. Wydawali się jakby sparaliżowani.

Statek płynął sam.

– C… co… co u diabła stało się z tymi Japończami? – usłyszał Craig, jak mówi jeden z oszołomionych oficerów.

– Taaa, co stało się z tymi bombowcami?

– Skąd się wziął ten wiatr?

– Minutę temu, nie było żadnego wiatru.

– Popatrzcie tylko na morze. Całe pokryte jest białymi bałwanami.

– Coś się stało ze słońcem. Ja… jestem niemal pewien, że widziałem, jak się poruszyło.

Oszołomione, zdezorientowane głosy.

– A co u licha stało się z lotniskowcem? – To był głos kapitana Higginsa. – A z resztą zespołu, z krążownikami i niszczycielami… co się z nimi stało?

Craig popatrzył w stronę miejsca na morzu, w którym ostatnio widział lotniskowiec. Wypuszczał wtedy samoloty.

Nie wierzył własnym oczom.

Lotniskowca nie było.

Krążowniki i niszczyciele, które zataczały gwałtowne okręgi wokół lotniskowca i pancernika –– wszystkie zniknęły.

Powierzchnia morza była zupełnie pusta. Nie było widać nawet żadnych obłoczków wybuchających na niebie pocisków.

Idaho posuwał się naprzód, przez dziwne morza. Od horyzontu do horyzontu, w zasięgu wzroku nie było widać zupełnie niczego. Zespół uderzeniowy, do którego należał okręt, atakujące samoloty Japończów, wszystko to gdzieś zniknęło. Grupa oficerów odpowiedzialnych za statek, ciągle była oszołomiona. Potem, krok po kroku, zaczęło dawać znać o sobie ich długotrwałe szkolenie i podjęli walkę z paraliżującą ich paniką. Kapitan Higgins rozkazał, aby okręt zwolnił, tak że ledwie posuwał się naprzód. Miało to na celu zabezpieczenie ich przed uderzeniem w jakieś podwodne rafy lub ławice pisaku. Podstawowe pytanie brzmiało –– co się stało? Kapitan Higgins rozkazał złamanie ciszy radiowej Statek wyposażony był w najnowszy sprzęt do komunikacji bezprzewodowej, wystarczająco silny do nawiązania kontaktu z kontynentem amerykańskim, a nawet na jeszcze większe odległości.

Wezwania radiowe pozostawały bez odpowiedzi. Ludzie z obsługi radia meldowali, że wszystko co odbierali na swoich odbiornikach, to jedynie zakłócenia i szumy. To było po prostu niemożliwe.

Z narastającą konsternacją, kapitan Higgins rozkazał wystrzelenie w powietrze samolotu, aby przeszukał morze w najbliższej okolicy. W międzyczasie zaczęły napływać standardowe raporty ze wszystkich części okrętu, donoszące, że Idaho nie odniósł żadnych uszkodzeń z powodu bombardowania. Znajdował się w pierwszorzędnym stanie. Jedynym elementem na statku nie funkcjonującym poprawnie, byli ludzie stanowiący jego załogę. Wszyscy czuli się oszołomieni. Porażce w bitwie, byli w stanie stawić czoła. Nie zawahaliby się nawet przez chwilę, gdyby statek tonął pokonany przez przeważającą siłę ognia armatniego. Walczyliby bez cienia strachu, w razie potrzeby oddając życie, zgodnie z najlepszymi tradycjami swojej służby.

Craig był ciągle na mostku, razem z kapitanem Higginsem i innymi oficerami. Chociaż nic po sobie nie pokazywał, był mocno wystraszony. Przerażenie przepełniało go aż po same podeszwy jego bosych stóp. Obserwował wystrzelony z katapulty samolot, i nachodziły go ponure myśli, że Noe, wysyłając ze swojej arki gołębicę, musiał być w podobnej sytuacji co oni. Podobnie jak Noe, kapitan Higgins również wysyłał gołębia, aby przeszukać wodne pustkowie.

Oprócz Craiga na mostku przebywał jeszcze jeden cywil, Michaelson. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Normalnie, gdyby wdarł się bez zaproszenia w to święte miejsce, zostałby stąd wyrzucony tak szybko, że nawet by się nie obejrzał. Ale oficerowie mieli inne rzeczy na głowie, niż zabłąkany cywil, który wyskoczył znikąd. Michaelson po bezskutecznych próbach dobijania się od oficera do oficera, którzy go nawet nie zauważali, w końcu zwrócił się do Craiga. Pomachał mu przed oczyma swoim notatnikiem.

– **C**i ludzie nie zwracają na mnie żadnej uwagi – poskarżył się Michaelson, wskazując głową w stronę oficerów.

– Mają kłopoty – wyjaśnił Craig. – Natknęli się na problem, który doprowadza ich do szaleństwa.

– Ale ja właśnie mógłbym pomóc im rozwiązać ten problem! – stwierdził Michaelson, z wyraźną irytacją w głosie.

– A, tam, zostawmy… Słucham? Co powiedziałeś? – dopytywał się Craig.

– Gdyby tylko chcieli mnie słuchać, mógłbym im wyjaśnić co się stało. Próbowałem ich ostrzec zanim to się wydarzyło, ale nie udało mi się dostać na czas na mostek.

– Ty… *ty wiesz, co się stało*? – Craig niemal się zadławił.

– No pewnie! – z emfazą oświadczył Michaelson.

Craig przyglądał się małemu człowieczkowi. Michelson nie wyglądał, jakby zjadł wszystkie rozumy, ale mówił doskonałym angielskim, a nawet jeżeli był dziwakiem, to wydawał się inteligentny. Craig przypominał sobie,

że Michaelson próbował dostać się na mostek tuż przed atakiem bombowców, oraz że próbował również skontaktować się z kapitanem, jeszcze przez ogłoszeniem alarmu i ostrzeżeniem o zbliżających się samolotach. Craig zwrócił się do oficerów.

– Kapitanie Higgins – poprosił.

– Nie przeszkadzaj mi teraz, Craig – ostro rzucił kapitan.

– Jest tu pewien człowiek, który chce z tobą porozmawiać – odparł Craig.

– Nie mam teraz czasu… – Kapitan po raz pierwszy zauważył Michaelsona. – A kim pan u diabła jest? – warknął. – Co pan robi na moim mostku?

– To ten człowiek, który chce z tobą porozmawiać – wyjaśnił Craig. – Nazywa się Michaelson.

Michaelson nieśmiało się uśmiechnął.

– Być może pan o mnie słyszał – powiedział.

– Czy pan jest tym Michaelsonem, naukowcem? Człowiekiem, którego nazywają drugim Einsteinem? – dopytywał się Higgins.

Michaelson zarumienił się.

– Jestem naukowcem – potwierdził. – Natomiast co do bycia drugim Einsteinem, to nie. Jest tylko jeden Einstein. Nie może być innego. Ale niewykluczone, że będę mógł panom pomóc, z waszym problemem.

Craig widział, jak nastawienie oficerów zmienia się w oczach. Słyszeli o Michaelsonie. To było wielkie nazwisko. Aż do tej chwili nie zdawali sobie sprawy, że był on na ich mostku. Stali się pełni szacunku.

– Jeżeli może nam pan pomóc, to proszę strzelać – bez ogródek zaprosił go Higgins.

– Spróbuję – oznajmił naukowiec. Zmarszczył wargi i wyglądał na bardzo zamyślonego. – Jeżeli wiecie panowie coś o geologii, to bez wątpienia słyszeliście coś o „uskokach”. „Uskoki” są niestabilnymi terenami na powierzchni Ziemi, miejscami gdzie z powodu połączeń lub pęknięć w leżących w głębi warstwach skał, mogą występować osuwiska. Mamy na przykład wielki Uskok San Andreas w Kalifornii.

– Przepraszam, panie Michaelson – przerwał mu Higgins. – Jeżeli ma pan nam coś do powiedzenia, to proszę to powiedzieć, a nie urządzać nam wykłady z geologii.

– Przy wyjaśnianiu nieznanych zjawisk, najlepiej jest rozpocząć od czegoś, co jest znane – odparł naukowiec. – Uskoki Ziemi, to znana sprawa. Kiedy o nich mówię, rozumiecie mnie. Jednak jest jeszcze inny rodzaj uskoków, które nie są tak bardzo znane, albo raczej znane jedynie kilku specjalistom, podejrzewającym ich istnienie… – Przerwał na chwilę. – Chodziło mi tu o uskoki czasoprzestrzenne.

Twarze oficerów nie okazywały niczego. Craig zmarszczył brwi, ale przysłuchiwał się, z narastającym zainteresowaniem. Uskok w czasoprzestrzeni? Czy o tym właśnie mówił Michaelson?

– Nie znajdziecie odniesień do uskoków czasoprzestrzennych w żadnych rozprawach naukowych – kontynuował Michaelson. – Jak dotąd nie ma literatury na ten temat. Pewne nieregularne zjawiska, pośród których najważniejszym jest widoczne zmniejszenie prędkości światła na pewnych obszarach Ziemi, doprowadziły kilku naukowców do przemyśleń na temat określonych niezwykłych warunków zachodzących w przestrzeni i w czasie, które mogłyby wyjaśniać obserwowane fenomeny. Prędkość światła, zakłada się, że jest stała, a jednak w pewnych miejscach na Ziemi, bez żadnych znanych powodów, światło wydaje się poruszać wolniej, niż w innych. Jaka może być przyczyna tego dziwnego spowolnienia? Badania ujawniły istnienie czegoś, co nazwałem uskokiem czasoprzestrzennym.

– Panie Michaelson, proszę – odezwał się kapitan Higgins. – Nie jesteśmy naukowcami. Z całym szacunkiem dla pańskiej wiedzy, muszę pana prosić, aby przeszedł pan bezpośrednio do sedna sprawy.

– Bardzo dobrze – odparł naukowiec. – Wpadliśmy w uskok czasoprzestrzenny. Prowadziłem pewne badania tutaj i w pobliżu tego obszaru, aby zlokalizować granice uskoku, który jak mam nadzieję zostanie nazwany –– ponieważ to ja go odkryłem –– Uskokiem Michaelsona. W normalnych okolicznościach, statek mógłby z olbrzymim prawdopodobieństwem przejść bezpiecznie nawet bezpośrednio przez uskok. Aczkolwiek, jak podejrzewam, na podstawie pewnych danych dotyczących tajemniczo zaginionych statków, nie wszystkim statkom i nie w każdych warunkach, udało się przez niego przejść. W naszym przypadku, eksplozja bomb, stanowiła wystarczającą przyczynę wywołania chwilowego naruszenia równowagi czasoprzestrzeni na tym terenie, co spowodowało, że zostaliśmy przerzuceni przez uskok.

Przerwał i rozejrzał się z oczekiwaniem po otaczających go osobach. Sprawiał wrażenie, że przedstawił pełne wyjaśnienie, tego co się stało. Spodziewał się, że oficerowie go zrozumieją. Nie zrozumieli.

Obserwujący wszystko w milczeniu Craig, schwycił mgliście główną ideę tego, o czym mówił naukowiec. Czuł jak zimny dreszcz przebiega mu w górę i w dół po kręgosłupie. Jeżeli poprawnie zrozumiał Michaelsona…

– Zostaliśmy przerzuceni przez uskok? – odezwał się jeden z poruczników. – Nie rozumiem tego. Co pan przez to rozumie, sir?

– Co rozumiem? – odparł mu Michaelson. – Rozumiem przez to, że przeszliśmy przez uskok.

– Ale co to znaczy?

– Że przemieściliśmy się w czasie!

Kiedy usłyszał te słowa, Craig uświadomił sobie narastające napięcie. A więc dobrze zrozumiał Michaelsona! Właśnie tego się obawiał. Z wyrazu twarzy oficerów, widać było, że oni albo nie rozumieją co powiedział naukowiec, albo rozumieją ale nie mogą w to uwierzyć,

– Przemieściliśmy się w czasie! – ktoś zadrwił. – Ależ to jest śmieszne.

Michaelson wzruszył ramionami.

– Myślicie panowie w emocjonalny sposób – stwierdził. – To jest myślenie życzeniowe. Macie nadzieję, że jednak nie przemieściliśmy się w czasie. To dlatego twierdzicie, że to nie może być prawda.

– Ale – spytał kapitan Higgins, – jeżeli przemieściliśmy się w czasie, to jak daleko się znaleźliśmy i w którym kierunku?

– Jak daleko, nie jestem w stanie powiedzieć – odparł Michaelson. – Co do kierunku, to nie ma w zasadzie wątpliwości. Znaleźliśmy się w przeszłości. Uskok czasoprzestrzenny może się ześlizgiwać jedynie w przeszłość. Nie może prowadzić do przodu, albo ściślej mówiąc, nie jestem w stanie wyobrazić sobie możliwości ześlizgnięcia się w przyszłość. A co do odległości o jaką się przesunęliśmy, to w przestrzeni, zaledwie parę stóp. Odległość w czasie może wynosić sto tysięcy lat. Może być to nawet milion lat, albo dziesięć milionów. – Popukał palcem w swój notatnik. – Zebrałem tutaj wiele danych, ale za mało aby określić jak daleko się znaleźliśmy.

Craig poczuł zimno. Zimno bardziej intensywne, niż kiedykolwiek wcześniej czuł w życiu. Przeszli do innego czasu! Rozpaczliwie próbował wzbudzić w sobie wątpliwości, uwierzyć w to, że naukowiec nie wie o czym mówi. Jego oczy szukały pokrzepienia w potężnej sylwetce pancernika. Z pewnością taka masa stali nie mogła przemieścić się w czasie! Jednak… słońce przeskoczyło, a huraganowy wiatr rozszalał się zupełnie znikąd i ciągle ryczał w furii, wyjąc na takielunku statku. Spokojne morze, zmieniło się w targaną sztormem kipiel. No i… radio ciągle milczało.

Czy Michaelson mógł mieć rację? Albo może jednak był jakimś szaleńcem? Craig nie potrafił w pełni ocenić całości rozumowania naukowca. Uskok czasoprzestrzenny, to brzmiało nieprawdopodobnie. Ale nie było przecież żadnych wątpliwości odnośnie istnienia uskoków gruntu. Craig widział w swoim życiu kilka obszarów, na których podstawy gruntu zostały naruszone. Jeżeli niewyobrażalnie silne parcie planety, potrafiło zgnieść całe mile skały, tak jak on mógł zgnieść w dłoniach kartę do gry, to dlaczego bardziej wrażliwa tkanina czasoprzestrzeni także nie mogłaby ulec zgnieceniu?

Na twarzach oficerów wyraźnie odbijały się wątpliwości. Craig widział, jak wymieniają między sobą nawzajem ukradkowe zaniepokojone spojrzenia, jak szukają pokrzepienia w potężnej konstrukcji pancernika. Statek był dla nich dobrze znanym światem.

Kątem oka, Craig dostrzegł jak coś zbliża się w ich kierunku ponad morzem. Jednocześnie rozebrzmiało wywołanie strażnika z forpiku.

– Obawiam się, niestety – powiedział Craig wskazując ręką na lecący w ich stronę obiekt, – że nie ma żadnych wątpliwości co do tego, czy pan Michaelson ma rację. Proszę spojrzeć tam.

Szybując z wiatrem, zbliżał się do nich gigantyczny jaszczur. Leciał z wyszczerzonym dziobem, pełnym kłów, trzepocząc w powietrzu skórzastymi skrzydłami. Było to stworzenie z najdalszych otchłani czasu.

Stanowiło ono dowód, po prostu przez sam fakt swojego istnienia, że Michaelson miał rację.

Idaho, i jego cała załoga, przeszli przez uskok czasoprzestrzenny, do przedpotopowego świata!

Rozdział III

Powrót gołębia

Ponad statkiem pojawiły się dziesiątki wielkich ptasich jaszczurów, łopoczących skrzydłami. Albo pomyślały sobie, że był on jakimś wrogiem, którego należy zaatakować i zniszczyć, albo myślały, że to coś do jedzenia. W obu przypadkach trzeba było go zaatakować. A więc atakowały. Zataczały wokół statku kręgi, ciężko łopocząc skrzydłami nabierały wysokości, a następnie rzucały się lotem ślizgowym, z wyszczerzoną zębatą paszczą, ostro skrzecząc.

Obsługa działek przeciwlotniczych bez trudu zestrzeliwała bestie do morza.

Grupka pełnych napięcia oficerów na mostku przyglądała się tej rzeźni, bez większego zainteresowania. Byli pewni, że działa Idaho stanowią dostateczną obronę przeciwko jakiemukolwiek stworzeniu lądowemu, powietrznemu, czy wodnemu, żyjącemu na tej planecie. Nie bali się zwierząt z tych dziwnych czasów, w jakie zostali rzuceni.

Samolot zwiadowczy nadal znajdował się w powietrzu, przetrząsając wodne pustkowie, w poszukiwaniu lądu.

Wszyscy oficerowie z Idaho myśleli o tej samej sprawie. Ich myśli ubrał w słowa kapitan Higgins.

– Panie Michaelson – powoli powiedział kapitan. – Nie mogę z panem dyskutować. Zmuszony jestem do uwierzenia, że zostaliśmy zepchnięci pod prąd czasu. Jednakże ciąży na mnie odpowiedzialność za ten okręt. Tam, skąd przybyliśmy Idaho jest potrzebny. Chciałbym, aby okręt powrócił w miejsce, do którego przynależy. W jaki sposób można tego dokonać?

Naukowiec zawahał się. To co miał do powiedzenia, zupełnie mu się nie podobało. W końcu pokręcił przecząco głową.

– Nie jestem pewien, czy w ogóle jesteśmy w stanie to zrobić – oznajmił w końcu.

– Ale my musimy wrócić – zaprotestował Higgins.

– Wiem – odparł ze współczuciem Michaelson. – Problem tylko polega na tym, *jak*!

– Czy chciał pan przez to powiedzieć, że nie ma sposobu na powrót?

Naukowiec wzruszył ramionami.

– Jeżeli jest, to ja go nie znam.

– Ale ma pan może jakieś sugestie? W końcu, to przecież pańska dziedzina. To pan jest naukowcem.

– To moja dziedzina, ale nawet ja wiem o niej bardzo niewiele. O naturze kontinuum czasoprzestrzennego nie wiadomo nam niemal nic. Dopiero ostatnio zaczęliśmy się domyślać, że takie rzeczy jak uskoki czasoprzestrzenne w ogóle mogą istnieć. Zostaliśmy przerzuceni przez ten określony uskok, przypadkowo, w wyniku niefortunnego zbiegu okoliczności. Czy będziemy w stanie powtórzyć ten przypadek i czy dzięki niemu wrócimy do naszych własnych czasów –– po prostu nie wiem. Nikt tego nie wie.

Oficerowie z Idaho przyjęli tę wiadomość z niezbyt wesołymi minami. Craig współczuł im serdecznie. Pomimo wszystko część z nich pozostawiła w Stanach Zjednoczonych rodziny, a wszyscy mieli tam przyjaciół i znajomych. Albo może należało powiedzieć, że będą mieli w Stanach Zjednoczonych. W Ameryce, która dopiero powstanie? Trudno było pamiętać, że Kolumb jeszcze nie pożeglował na zachód, i nie pożegluje… przez jak wiele setek tysięcy lat?

Zanim powstanie Ameryka, musi przewinąć się cała historia ludzkości. Jeżeli teoria dryfu kontynentalnego była poprawna, to sam kontynent amerykański może nawet jeszcze w ogóle nie istnieć. Ciągle może być dołączony do Europy. Babilon i Niniwa, Karnak i Teby, Rzym i Londyn –– nie było takich miast na tej planecie, i nie będzie jeszcze przez…

Znajdujący się na tym statku ludzie, byli prawdopodobnie jedynymi istotami ludzkimi, żyjącymi na Ziemi! Ludzie jeszcze nie stali się ludźmi, albo raczej przypuszczalnie jeszcze się nie stali. Człowiek Neandertalski, ludzie z Cro-Magnon, a być może nawet Człowiek Jawajski, Człowiek z Piltdown[1], wszystkie te gatunki jeszcze się na tej planecie nie pojawiły!

– O ile pana dobrze rozumiem – spytał jeden z oficerów, – przepływaliśmy akurat dokładnie przez uskok czasoprzestrzenny, kiedy eksplozja bomb przepchnęła nas przez niego? Czy mam rację?

– Tak, na pan rację – odparł Michaelson.

– A więc, dlaczego nie zlokalizujemy tego uskoku i nie z przygotujemy jakichś własnych fajerwerków? – zasugerował oficer. – Czy jest jakaś szansa, że w ten sposób moglibyśmy wrócić… do domu?

– Nie wiem – przyznał szczerze naukowiec. – Może się udać, a może nie. Z pewnością nie zaszkodzi spróbować, a nawet jeżeli nic z tego nie wyjdzie, to przecież również nic nie tracimy. W międzyczasie przejrzę moje dane i zobaczę, czy uda mi się znaleźć jakiś sposób na realizację naszych zamierzeń.

Michaelson zszedł pod pokład. Idaho został zawrócony. Natychmiast jeden z zatroskanych oficerów zgłosił kolejny problem.

– W jaki sposób mamy znaleźć ten uskok? – spytał. – Przecież go nie widać. Nie potrafimy go w żaden sposób wykryć. Skąd więc mamy wiedzieć, że jesteśmy we właściwym miejscu?

[1] Szczątki kopalnego człowieka (przede wszystkim czaszka) z Piltdown, to akurat znane oszustwo. Ale zostało ono wykryte dopiero na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Wcześniej powszechnie uznawano jego istnienie (przyp. tłumacza).

– Przeszukamy cały ten obszar – powiedział Higgins. – Nie odpłynęliśmy daleko, tak że lokalizacja uskoku, nie powinna być specjalnie trudna. Jeżeli już o to chodzi, to prawdopodobnie ciągle jeszcze jesteśmy w środku.

Oficerowie ruszyli aby szybko i sprawnie wprowadzić rozkazy w życie. Plan polegał na ustawieniu statku w tym samym miejscu, w którym znajdował się wtedy, gdy uderzyły bomby, a następnie użyciu małych łodzi do rozmieszczenia w wodzie dookoła statku, ładunków wybuchowych, które można było odpalić elektrycznie z pokładu. Kapitan Higgins podszedł do stojącego Craiga. Zdjął czapkę i otarł pot z czoła.

– Co o tym wszystkim sądzisz – spytał.

Craig wzruszył ramionami.

– Akceptuję to – odparł.

– Ale… jeszcze kilka minut temu byliśmy częścią zespołu uderzeniowego, a bombowce Japońców brały nas na cel. W następnej chwili… – Higgins wyglądał zupełnie bezradnie. – Do diabła, Craig – wybuchnął, – coś takiego w ogóle nie powinno się wydarzyć!

– Nie myśli się, że coś takiego może się wydarzyć – ponuro skorygował jego słowa wysoki mężczyzna. – Przecież właśnie niedawno zobaczyliśmy jak się wydarzyło.

– Ale gdyby… – zaprotestował Higgins, – gdyby istniały takie uskoki czasoprzestrzenne, to musielibyśmy o nich wiedzieć. Inne statki również by w nie wpadały.

– Być może inne statki w nie wpadały – zasugerował Craig. – Choćby podczas ostatniej wojny, Cyclops rozpłynął się bez śladu. Były przecież także i inne statki, które zniknęły, w gruncie rzeczy całe dziesiątki. A, jeżeli już o tym rozmawiamy to, jak myślisz, co zrobi dowódca twojego zespołu uderzeniowego, aby rozwiązać sprawę zniknięcia Idaho?

– Nie wiem – niepewnie wymamrotał Higgins.

– Będzie musiał zameldować o utracie pancernika. Co więc napisze w raporcie?

– A co on może napisać?

– Przeczesze cały obszar w poszukiwaniu ocalałych i wraku. Kiedy nie znajdzie ani tego, ani tego, to jedyną konkluzją do jakiej dojdzie, będzie fakt, że Idaho zatonął w mgnieniu oka, razem z całą swoją załogą. Pamiętaj, że w tym czasie byliśmy atakowani. Przypominasz sobie to intensywne niebieskie światło, które zapłonęło dookoła nas na horyzoncie? Dla ludzi na innych statkach, to światło mogło wyglądać jak eksplozja magazynów amunicyjnych na Idaho. Admirał dowodzący twoim zespołem uderzeniowym, pewnie napisze w raporcie, że najwidoczniej bomba przeszła przez przewody kominowe Idaho i w wyniku jej eksplozji, wyleciały w powietrze również magazyny amunicyjne.

Craig przerwał swoje wywody, i z rosnącym zakłopotaniem przyglądał się temu, co robił Higgins. Kapitan energicznie kopał w stalową gródź mostka. Uderzał w nią prawą stopą, tak jakby próbując przewrócić upartą

ścianę mocnym kopniakiem. Na jego twarzy widniał wyraz bólu. Craig obserwował to przez sekundę, a potem się uśmiechnął.

– Czy zabolało? – spytał uprzejmie.

– Tak!

– A więc to wszystko musi dziać się naprawdę – zasugerował wysoki mężczyzna.

Higgins zrezygnował z obijania ściany. Craig domyślił się, dlaczego to robił –– aby upewnić się, że ściana naprawdę tam jest. Higgins czuł się jak w sennym koszmarze, ale zamiast szczypać się, aby sprawdzić czy nie śpi, zaczął kopać w ścianę.

– Niech to diabli! – wymamrotał kapitan. – Dlaczego właśnie nam musiało się to przytrafić?

– Przeznaczenie – zadumał się Craig. – Los. A dlaczego akurat ten parowiec na którym płynąłem został zbombardowany? A dlaczego znalazłem się akurat w tej szalupie ratunkowej, która nie została ostrzelana z karabinów maszynowych? A dlaczego przytrafiło nam się, że nas znaleźliście? Jedyna odpowiedź na te wszystkie pytania brzmi: los.

– To jest cholernie nędzna odpowiedź – stwierdził Higgins.

– To jedyna odpowiedź – odarł Craig. – Zobacz, wraca twój gołąb.

– Co? Żartujesz sobie ze mnie? – spytał zaskoczony kapitan.

Craig wskazał ręką na morze. Na horyzoncie pojawił się ledwie widoczny malutki punkcik.

– Och, samolot – zrozumiał kapitan, widząc punkcik. Zbliżał się szybko w ich stronę.

Craig przyglądał się mu, ze zmarszczonymi brwiami i grymasem zastanowienia na twarzy.

– Myślałem, że wysłałeś tylko *jeden* samolot – powiedział po chwili.

– Zgadza się, wysłałem jeden.

– No, cóż – powoli wycedził Craig. – O ile moje oczy nie są już w ogóle do kitu, to wracają trzy.

– Co?… Ależ to jest absolutnie niemożliwe! – Higgins złapał lornetkę, i szybko skierował szkła na samolot. Na niebie widać było ciągle jeden punkt. Dwie mniejsze kropki, podążały jego śladem.

– Może ściga go para tych latających jaszczurów? – zaryzykował przypuszczenie Craig.

– Nonsens – odparł kapitan. – Mógłby zataczać wokół nich kółka. Te jaszczury są za wolne, aby za nim nadążyć. Ale bez wątpienia coś za nim leci.

Higgins trzymał lornetkę przy oczach, wysilając wzrok aby dojrzeć zbliżające się punkciki.

– Jeżeli te obiekty to samoloty – wymamrotał, a w jego głosie wyraźnie było słychać nutę szczęścia i uniesienia, – to Michaelson i ta cała jego gadanina o uskokach czasoprzestrzennych, są kompletnym szaleństwem.

Higginsowi chodziło o to, że jeżeli te dwa punkciki są samolotami, to wszystko co stało się z Idaho, musi być jakiegoś rodzaju złudzeniem. Samoloty mogą istnieć jedynie w nowoczesnym świecie. Były przecież jednym z najnowszych wynalazków ludzkości.

Samolot zwiadowczy ze statku, o charakterystycznych grubych, niezgrabnych skrzydłach był teraz dobrze widoczny. Wyraźnie mknął na łeb i szyję w kierunku Idaho. Craig obserwował go z narastającą obawą.

– Ten pilot przez czymś ucieka – powiedział.

– To niemożliwe – ostro rzucił Higgins.

Samolot szybko się zbliżał. Leciał na niskiej wysokości. Dwie kropki twardo następowały mu na pięty. Doganiały go. I… to już nie były kropki.

– Samoloty! – zawołał Higgins.

Craig nie odzywał się. To były samoloty, w porządku, ale… Widział jak z jednego z nich pomknął jakiś przedmiot. Samolot zwiadowczy wyskoczył w górę, wznosząc się rozpaczliwie. Coś poleciało znowu w jego stronę i go dotknęło. Zaczął tracić wysokość. Ciągle zbliżał się do Idaho, ale był to już tylko powolny spadek.

– On jest atakowany! – krzyknął Higgins, z bólem w głosie.

Przez Idaho przetoczyły się alarmowe sygnały wzywające na stanowiska. Ponownie wielki okręt rozhuśtał się od bieganiny ludzi pośpiesznie zajmujących swoje miejsca.

Samochód zwiadowczy opadał coraz niżej i niżej. Uderzył w wodę. Jedna ze ścigających go maszyn zanurkowała w dół, prosto na niego.

Baterie przeciwlotnicze rozpoczęły ogień. Po raz kolejny Idaho musiało się bronić. Ponad wodą przetoczył się huk armat.

Atakujący samolot znajdował się w zasięgu bezpośredniego ostrzału. Wokół niego w powietrzu nagle rozkwitły obłoczki czarnego dymu, naparły na niego ze wszystkich stron, w końcu chwytając bezpośrednim trafieniem.

Rozległ się huk gigantycznej eksplozji.

W miejscu w którym był samolot wybuchła kula dymu. Szczątki maszyny rozleciały się wszędzie dookoła, wolno opadając w stronę powierzchni morza. Z samolotu nie pozostało nawet tyle, aby można było dokonać jego identyfikacji.

Drugi samolot pomknął w górę. Po raz pierwszy Craig mógł mu się dobrze przyjrzeć. Poprzednio, pierwsze wrażenie jakie odniósł, pomimo że absolutnie nielogiczne, było takie, że to jest maszyna Japończyków. Kiedy zaczęła się wznosić, mógł jej się dobrze przyjrzeć. To nie był samolot japoński. Na kadłubie i skrzydłach, nie było symboli wschodzącego słońca.

Po chwili Craig zorientował się, że to w ogóle nie jest samolot. Miał krótkie i grube, skośnie nachylone skrzydła, ale skrzydła te ewidentnie służyły raczej do stabilizacji samego lotu, niż do wytwarzania przy ich pomocy siły nośnej. Samolot wyglądał bardziej jak latający klin.

Był szybki, szybki jak błyskawica.

Widać było, że pilot nie zauważył pancernika, dopóki zaporowy ogień przeciwlotniczy okrętu nie zniszczył pierwszego samolotu. Do tej chwili nawet nie zdawał sobie sprawy z istnienia Idaho. Jak ptak, który został nagle zaskoczony pojawieniem się jastrzębia, samolot rzucił się w powietrze. Wokół niego ciągle wybuchały pociski. Ruszył w górę tak

szybko, że zupełnie zostawił z tyłu strefę ognia. Wznosił się niemal pionowo. Osiągnął mniej więcej dwadzieścia tysięcy stóp, i wyrównał lot. Dwukrotnie zatoczył krąg wokół pancernika, ignorując wybuchy pocisków, które próbowały za nim nadążyć.

Następnie oddalił się w kierunku, z którego przyleciał. W ciągu kilku sekund zniknął z zasięgu ich wzroku.

Na mostku Idaho panowała kompletna cisza.

– Święty Boże! – usłyszał Craig, jak mruczy jeden z oficerów. – Ktoś tu jest szalony, jak jasna cholera. Nie mamy samolotów, które by latały jak ten, i diabelnie dobrze wiemy, że nie mogło ich być ich sto tysięcy lat temu!

Czyżby Michaelson się mylił? Czy mówił głupstwa, kiedy powiedział, że Idaho został przerzucony przez uskok w czasie, w odległą przeszłość? Twierdził, że mogą znajdować się sto tysięcy lat w przeszłości, albo nawet miliony lat –– nie wiedział ile. Pojawienie się latających jaszczurów, wielkich skrzydlatych smoków z mitów, wydawało się dowodzić słuszności słów naukowca.

Czy te dwa tajemnicze samoloty, o dziwacznych kształtach i konstrukcji, potrafiące latać z taką oślepiającą prędkością, dowodzą tego, że się mylił?

Czy możliwe jest –– ta myśl niemal sparaliżowała Craiga –– że zostali przerzuceni do przyszłości?

Skrzydlate smoki były stworzeniami z przeszłości. Samoloty, teoretycznie przynajmniej, należały do przyszłości.

– Coś tu jest bardzo nie tak! – stwierdził kapitan Higgins. – Sprowadźcie tego naukowca – polecił swoim adiutantom. – Chcę z nim porozmawiać.

Michaelson przyszedł na mostek i spokojnie wysłuchał, wszystko co miał mu do powiedzenia Higgins. Jego poważna twarz nie okazywała żadnych emocji, ale oczy spoglądały bardzo ponuro.

– Z całą pewnością mogę wam powiedzieć dwie rzeczy – w końcu oświadczył. – Pierwsza z nich to, że nie jesteśmy w żadnym miejscu, które moglibyśmy określić jako przyszłość.

– Ale te dwa samoloty były lepsze niż cokolwiek co my dotychczas wynaleźliśmy! – upierał się kapitan Higgins. – Samolot został wynaleziony dopiero w 1907 roku. To *musi* być przyszłość.

– *Ludzie* wynaleźli samoloty w 1907 roku – poprawił go Michaelson. Lekko, ale wyraźnie położył nacisk na słowo „ludzie”.

Higgins wpatrywał się w niego. Powoli, w miarę jak uświadamiał sobie konsekwencje słów wypowiedzianych przecz naukowca, twarz zaczęła mu się zmieniać.

– Do czego pan zmierza? – spytał, a jego głos stopniowo zmieniał się w szept.

Michaelson rozłożył ręce w geście bezradności.

– Bracia Wright wynaleźli aparat latający cięższy od powietrza, na początku dwudziestego stulecia – powiedział. – Byli pierwszymi ludźmi którzy wykonali lot samolotem. Pierwszymi osobnikami naszej rasy. Skąd jednak mamy wiedzieć, co się działo na Ziemi milion lat temu, a ja mogę panu zdecydowanie potwierdzić, że jesteśmy co najmniej milion lat w przeszłości? Historia, którą znamy dosyć dobrze, pokrywa przedział czasu o rozpiętości nie dłuższej niż pięć tysięcy lat. Jak więc możemy być pewni tego co się działo, albo co się nie działo na Ziemi, miliony lat temu?

Naukowiec mówił cicho, głosem stłumionym niemal do poziomu szeptu.

– Znajdujemy się obecnie na długo przed czasem samolotów. A jednak znaleźliśmy tutaj samoloty. Jak pan myśli, co to może oznaczać?

– Ja… – Higgins poczuł się słabo, a jego umysł wykręcał się na drugą stronę, nie chcąc stawić czoła nieznanym oceanom czasu. Zmusił swój umysł, aby pochylił się nad tym problemem. – To oznacza, że tutaj, w tych czasach również są ludzie – stwierdził ochrypłym głosem. – Ludzie, albo *ktoś*, kto wie jak budować samoloty.

Michaelson skinął głową.

– Ja również skłaniałbym się ku tego rodzaju wnioskom – potwierdził.

– Ale przecież to jest niemożliwe! – wybuchnął Higgins. – Gdyby w przeszłości istniały jakiekolwiek cywilizacje, mielibyśmy jakieś informacje na ten temat. Chodzi mi o to, że znaleźlibyśmy ich miasta, nawet jeżeli ich ludność dawno już wyginęła. Znaleźlibyśmy ślady ich fabryk, budynków…

– Czy na pewno byśmy znaleźli? – spytał Michaelson.

– Na pewno. Pan się ze mną nie zgadza?

– Niekoniecznie – stwierdził naukowiec. – Zapomina pan o pewnym bardzo istotnym czynniku –– co to znaczy milion lat. Czy za milion lat od dzisiaj, ktokolwiek będzie w stanie znaleźć Nowy Jork? Chicago? Londyn? Stalownie Pittsburgha? Wydaje mi się, że nie. Po tak długim czasie, oddziaływanie deszczu, mrozu i słońca, kompletnie zniszczy wszystkie ślady tych miejsc, które istniały kiedyś. Ponadto kontynenty, jakie my znamy, mogą zatonąć, a w ich miejscu pojawić się nowe. W jaki sposób zlokalizowałby pan ruiny Pittsburgha, gdyby miasto znajdowało się na dnie Atlantyku? Milion lat temu na Ziemi mogły istnieć olbrzymie miasta. Człowiek niekoniecznie musi być pierwszą rasą, jaka pojawiła się na tej planecie.

Przysłuchujący się dyskusji Craig uznawał logikę tego co powiedział Michaelson. Kiedyś na Ziemi mogły istnieć również i inne rasy! Próżność ludzi przesłaniała im ten fakt, jeżeli w ogóle o tym kiedykolwiek pomyśleli. Chcieli wierzyć, że to oni są najważniejsi, że tylko oni są efektem stworzenia, że Ziemia została oddana tylko im i wyłącznie dla ich korzyści. A natura mogła mieć przecież również inne plany.

Michaelson przedstawił logiczne rozwiązanie dylematu istnienia w tym samym świeci samolotów i latających smoków.

Craig widział jak oficerowie z niepokojem spoglądają w kierunku z którego przyleciały samoloty. Gdzieś tam, za horyzontem, było *coś*. Martwili się tym. Przeciwko bestiom z tych czasów, Idaho był wszechpotężnym przeciwnikiem. Ale w jaki sposób Idaho mógłby stawić

opór temu *czemuś*, co leżało za horyzontem? A czy statek będzie w stanie uciec z powrotem przez uskok w czasie, zanim zagrożenie powodowane przez te tajemnicze samoloty, stanie się bardziej poważne?

Wszędzie dookoła statku małe łodzie rozmieszczały ładunki z materiałów wybuchowych. Jedna z nich pośpieszyła do rozbitego samolotu zwiadowczego, na ratunek pilotowi.

– Trzeba sprawdzić, czy możliwa jest natychmiastowa ucieczka stąd – powiedział Higgins. – Musimy porozkładać te materiały wybuchowe i zobaczyć czy przepchną nas one z powrotem przez uskok czasowy.

Musieli uciekać z tego świata. Tutaj kryło się niebezpieczeństwo. Samoloty latające tak szybko jak ten, który przemknął pozostawiając za sobą tylko smugę na niebie, oznaczały niebezpieczeństwo.

Higgins rozkazał zwiększenie tempa rozmieszczania ładunków wybuchowych.

– Mówiłem, że jestem w stanie z całą pewnością powiedzieć wam dwie rzeczy – ponownie odezwał się Michaelson. – Jedna z nich, to że bez cienia wątpliwości jesteśmy w przeszłości, miliony lat w przeszłości. – Oznajmił to powoli, ze wzrokiem wbitym w krzątające się wokół statku łodzie. – Czy nie interesuje was także kolejna z tych dwu spraw, o których, jak mówiłem, mogę wam powiedzieć?

– Tak – odparł Higgins. – O co chodzi?

Naukowiec westchnął.

– O to chodzi, że nigdy nie uda nam się wrócić do naszych czasów!

– Co? Ale… przecież rozstawiamy miny. Jeżeli eksplozja bomb Japońców przepchnęła nas przez uskok czasowy, to być może druga eksplozja przepchnie nas z powrotem.

Michaelson pokręcił przecząco głową.

– Sprawdziłem wyliczenia dla tego przypadku – wyjaśnił. – To jest niemożliwe. Równie dobrze może pan odwołać te łodzie i zaoszczędzić pańskich materiałów wybuchowych. Fakty są następujące: jesteśmy uwięzieni w tym czasie, *na zawsze*!

Uwięzieni w czasie, na zawsze! Te słowa zabrzmiały jak dzwon przeznaczenia. Uwięzieni na zawsze. Nie ma szansy na ucieczkę. Nie ma nadziei na ucieczkę.

– Czy jest pan tego pewien? – dopytywał się Higgins.

– Tak – potwierdził naukowiec.

Craig rozejrzał się po morzu. Zapalił papierosa, zauważając że był to ostatni jakiego miał w paczce. Wciągnął dym do płuc, czując jego gryzący smak.

Uwięzieni w czasie, na zawsze!

Rozdział IV

Srebro na morzu

Noc nadeszła już kilka godzin temu. Craig stał na pokładzie, patrząc na morze, niebo i gwiazdy na niebie. To nie były dobrze znane konstelacje gwiezdne, do których był przyzwyczajony. Całkowicie zaciemniony Idaho w żółwim tempie skradał się przez ciemność. Szybkość statku utrzymywano na minimalnym poziomie, ponieważ wykorzystywane przez nawigatorów mapy, stały się bezużyteczne. Mapy były wykonane dla morza w tej odległej przyszłości, którą okręt już na zawsze opuścił i nie mówiły absolutnie niczego na temat tych wód. Pod statkiem mogła być cała mila wody. Równie dobrze mógł jednak ocierać się kilem o dno morza. Nawigatorzy doprowadzali się do szaleństwa, zamartwiając się o to co może znajdować się pod statkiem. Kapitan Higgins doprowadzał się do szaleństwa zamartwiając się nie tylko z tego powodu co może znajdować się pod statkiem, ale również tym co może wkrótce znaleźć się nad nim, kiedy powrócą tajemnicze samoloty. Pilot samolotu zwiadowczego został odnaleziony. Nie żył jednak i nie mógł powiedzieć, co zobaczył.

Craig zauważył, że w jego pobliżu pojawił się jakiś cień, ale myślał, że to jeden marynarzy z załogi, dopóki nie dostrzegł płomienia zapałki. To była Margy Sharp. Chciała zapalić papierosa.

Ostra reprymenda od jednego z oficerów, spowodowała, że wyrzuciła zapałkę.

– Ale o co chodzi? – dopytywała się. – Dlaczego nie mogę zapalić?

– Zaciemnienie – wyjaśnił jej Craig.

– Och, to *ty* – powiedziała dziewczyna.

– Gdzie byłaś? – spytał ją Craig. – Rozglądałem się za tobą, ale nigdzie jakoś cię nie mogłem znaleźć.

– Byłam w szpitalu – odparła. – Pomagałam strasznie zakłopotanemu lekarzowi.

– I jak się czuje Anglik? – spytał Craig.

– Anglik nie żyje już od kilku godzin – poinformowała go. – Byłam z panią Miller.

– Och! A co z nią?

– W porządku. Ale lekarz niemal odchodził od zmysłów. Oznajmił, że to pierwszy przypadek w historii marynarki wojennej, żeby na pokładzie okrętu urodziło się dziecko. Zdaje się, że myślał o naruszeniu zasad etykiety, czy czymś podobnym. To dziewczynka – kontynuowała swoją opowieść, niemal na jednym oddechu, tak jakby rozmowa o dzieciach

bardzo ją ekscytowała. – Pani Miller powiedziała, że ma zamiar dać jej na imię Margaret, po mnie. Czy to nie miłe? Powiedziała także, że jej mąż będzie się o nią zamartwiał na śmierć, i że chce skorzystać z radia okrętowego, aby przesłać mu wiadomość. Jak myślisz, da się to załatwić?

– Czy… – Craiga nieomal zatkało. – Posłuchaj, dziewczyno, czy ty nie wiesz co się stało?

Ton jego głosu zaalarmował ją.

– Nie – szybko zaprzeczyła. – Nic nie wiem. A co się stało?

Była zajęta pod pokładem, w izbie chorych, i miała za dużo pracy, aby zastanawiać się, co się dzieje na górze, ponad nią. Craig opowiedział jej całą historię. Słuchała go z niedowierzeniem i ze zdumieniem. Musiał opowiedzieć jej wszystko dwa razy, zanim zaczęła rozumieć jego słowa. A potem i tak nie chciała mu uwierzyć.

– Żartujesz sobie ze mnie – stwierdziła.

– Przykro mi – odparł Craig, – ale wcale nie żartuję.

– To znaczy… naprawdę chciałeś powiedzieć, że jesteśmy gdzieś w przeszłości?

– Dokładnie.

– Ale… co my teraz zrobimy?

Wysoki mężczyzna wzruszył ramionami.

– Pozostaje nam tylko czekać, i patrzeć co się będzie działo. To wszystko co możemy zrobić. Czekać i zobaczyć. – W jego glosie zabrzmiały tony podniecenia.

– Mówisz tak, jakbyś był zadowolony z tego co się dzieje – rzuciła wyzywająco.

– Wcale nie jestem zadowolony – szybko ją poprawił. – Jest mi bardzo przykro z powodu pani Miller, jej córeczki Margaret, z powodu ciebie, kapitana Higginsa i ludzi z Idaho. Ale z mojego osobistego powodu… no cóż, wcale nie jest mi przykro. To jest ostateczna przygoda. Mamy cały nowy świat do odkrycia, mnóstwo nowych rzeczy do zobaczenia. Znam setki ludzi, którzy daliby sobie rękę uciąć, aby zostać rzuconym tutaj, do tego nowego świata. Spotykałem ich w każdym obozie górniczym, w jakim się znalazłem, w każdej faktorii handlowej na obrzeżach cywilizacji, w każdym zakątku Ziemi. Oni byli ludźmi nieprzystosowanymi, a przynajmniej większość z nich. Ja również jestem nieprzystosowany, czy też raczej byłem, w naszych czasach. Ja nie należałem do naszego świata. Nie pasowałem tam. Nie byłem biznesmenem, nigdy nie byłbym w stanie się tym zajmować. Nie mógłbym zostać prawnikiem, urzędnikiem, czy innym pisarczykiem w białym kołnierzyku. A tutaj… no cóż, zdaje mi się, że tutaj pasuję znacznie lepiej. To są moje czasy, to jest moje miejsce na świecie. – Przerwał na chwilę. – Sam nie wiem, dlaczego mówię ci o tym wszystkim – krótko uciął.

Słuchała go w milczeniu i ze zrozumieniem.

– Możesz mi o tym powiedzieć – odparła. – Pamiętasz, wtedy na szalupie ratunkowej, kiedy powiedziałam ci, że jesteśmy do siebie

podobni? Ja również nie pasowałam, tam u nas. Myślę że także należę do tego świata.

Przysunęła się bliżej niego, w miękko otulającej ich ciemności. Czuł jej bliskość, jej kobiecość. Poruszył się, aby otoczyć ją rękoma.

– Brawo – odezwał się za nim jakiś głos.

Craig odwrócił się. Za nim stał Voronoff.

– Czego chcesz? – spytał go Craig.

– Od ciebie, nie chcę niczego – odparł Voronoff. – Nie mówiłem do ciebie. Nie myśl sobie, że zapomniałem o wodzie.

– Wodzie? – spytał go zaintrygowany Craig. – O czym ty mówisz?

– O wodzie, której brakowało w beczce, wtedy na szalupie ratunkowej – odparł Voronoff. – O wodzie, którą wypiłeś w nocy, kiedy reszta z nas spała.

– Do diabła z tobą… – rozgniewał się Craig.

Voronoff odszedł. Craig nie próbował pójść za nim. Zupełnie zapomniał o tej wodzie. Z wysiłkiem pohamował swój gniew i odwrócił się do dziewczyny.

Stała tyłem do niego i patrzyła w morze. Kiedy Craig się do niej odezwał, nie odpowiedziała. Chwilę wcześniej, między nimi rodził się czar ciepłych uczuć. Słowa Voronoffa zmieniły ciepło w chłód.

Tej nocy warty na Idaho donosiły, że statek jest śledzony. W ciemnościach ponad ich głowami, latały samoloty, bezgłośne samoloty. Warty od czasu do czasu dostrzegały je w świetle księżyca.

Fakt, że samoloty latały cicho, jak nocne cienie, wywoływał zamieszanie wśród wartowników, a ich niepokój udzielał się załodze. Nikt z nich nie zajmowałby sobie specjalnie głowy samolotami, emitującymi odpowiednią porcję hałasu, ale te widmowe maszyny, w ogóle nie wysyłające żadnych dźwięków, były przerażające. Bezgłośne samoloty odnajdywały statek, a następnie zdawały się znikać. A przynajmniej, znikały z oczu. Ale nikt nie wiedział, czy czasami nie pozostają one gdzieś w pobliżu, skryte w ciemnościach na niebie. Nie próbowały obrzucać statku bombami, ani atakować go w żaden inny sposób. Miało to złowieszczy wydźwięk.

Idaho miało na pokładzie cztery własne samoloty. Jeden został już utracony. Przed świtem, kapitan Higgins rozkazał wystrzelić z katapulty kolejny, aby rozejrzał się po okolicy. Samolot wzbił się w powietrze. Nie był atakowany, ani w żaden sposób niepokojony. Pilot, przez radio, zameldował o dużym masywie lądu, w najbliższej odległości. Nawigatorzy, sprawdzając posiadane mapy, stwierdzili, że tego lądu nie było na żadnej z nich.

Nadszedł świt, ta godzina niebezpieczeństwa, podczas której atak był najbardziej prawdopodobny. Załoga Idaho, czuwała przy swoich stanowiskach, czekając w napięciu. Ataku jednak nie było.

Słońce wspinało się coraz wyżej na niebie. Atak ciągle nie następował. Statek, poruszając się w bardzo wolnym tempie, wpłynął w obszar, na

którym powierzchnia morza zdawała się zmieniać kolor na srebrny. Efekt ten powodowany był przez jakąś oleistą substancję, unoszącą się na wodzie, nowe zjawisko zarówno dla oficerów, jak i ich podwładnych.

Na horyzoncie widać było zamglony zarys masywu lądowego, o którym meldował pilot samolotu zwiadowczego Grzbiety zalesionych wzgórz, stopniowo wyrastające coraz wyżej i przechodzące w widoczne w tle góry. Obrzeża jakiegoś potężnego kontynentu z dawnych czasów. Później, miliony lat później, jedynie szczyty tych gór miały pozostać ponad powierzchnią morza, tworząc tysiące wysp na Pacyfiku.

Craig zjadł śniadanie pod pokładem. Pojawił się na nim ponownie, akurat wtedy, kiedy zabrzmiał sygnał alarmu. Załoga pobiegła na stanowiska. Szybko dostrzegł przyczynę zamieszania.

W górze, na wysokości mniej więcej trzydziestu pięciu tysięcy stóp, pojawił się samolot. Podążał śladem statku. Nie próbował ich zaatakować. Craig wszedł na mostek. Kapitan Higgins spędził na nim całą poprzednią noc. Nadal tam był. Przywitał Craiga zmęczonym spojrzeniem.

– Jesteśmy obserwowani – poinformował go Higgins. – Nie podoba mi się to.

– Czy możemy coś z tym zrobić?

Higgins mrużąc oczy, popatrzył w górę, przez lornetkę.

– Za wysoko dla działek przeciwlotniczych. Nie, nic z tym nie możemy zrobić. A ja nie jestem pewien, czy chcemy coś z tym zrobić.

– Co przez to rozumiesz?

– Nie toczymy wojny, tutaj w tych czasach – odpowiedział kapitan. – Nie chcemy podejmować walki, jeżeli uda nam się jej uniknąć.

– Uniknięcie walki, może być pewnym problemem – zauważył Craig. – Pamiętaj, że oni zestrzelili pilota twojego samolotu zwiadowczego.

– Pamiętam – ponuro odparł Higgins.

– Oczywiście, moglibyśmy się poddać – zasugerował Craig.

– Czy nie mógłbyś sobie pójść do diabła? – powiedział Higgins.

– To był tylko pomysł – uśmiechnął się Craig. – Ale nie podoba mi się ta cała sytuacja. Nie wiemy, czego próbujemy uniknąć, podejmując walkę, ani jakie siły mają tamci, albo w jaki sposób zaatakują, jeżeli w ogóle to zrobią.

– Też mi się to nie podoba – odparł Higgins. – Ale nie ja o tym decyduję. Niech ich diabli, jeżeli mają zamiar zaatakować, chciałbym żeby już to zrobili!

Ponad wielkim statkiem bezgłośnie krążył malutki samolot. Wszyscy na Idaho zdawali sobie sprawę, że sytuacja jest paskudna. Byli obserwowani przez cały czas, Nic nie mogli zrobić, żeby to przerwać. Śledzące ich samoloty były powyżej zasięgu artylerii przeciwlotniczej. Okręt nie był w stanie ukryć się przed nimi. Nie było chroniących go niszczycieli, które położyłyby przyjazną zasłonę dymną, aby osłonić pancernik przed spoglądającymi z nieba oczyma. W międzyczasie, gdzieś w okolicy, nieprzyjaciel mógł gromadzić siły, żeby ich zniszczyć.

– Czy próbowałeś jakoś się z nimi skontaktować? – spytał go Craig.

– Próbowałem nawiązać z nimi łączność radiową, przez całą ubiegłą noc – odparł Higgins. – Nie było odpowiedzi. Radiooperatorzy mówią, że w eterze nie ma żadnych sygnałów. To, plus fakt, że nie próbowali odpowiadać na nasze sygnały, skłania mnie ku konkluzji, że oni nie wynaleźli jeszcze radia. Oczywiście, że mogą używać pasm pozostających poza zakresem naszych odbiorników… Halo! A co tam się dzieje?

Gdzieś w pobliżu niech zabrzmiał kolejny okrzyk.

Craig wychylił się poza balustradę na krawędzi mostka i na dolnym pokładzie zobaczył marynarza. Mężczyzna wychylał się przez reling i wskazywał ręką na powierzchnię morza. Krzyknął jeszcze raz i odwrócił głowę do góry, spoglądając w stronę mostka. Jego twarz była biała z przerażenia.

– O co chodzi? – dopytywał się kapitan Higgins.

– To… To tamto srebrzyste cholerstwo na powierzchni wody, sir! – odparł marynarz. – Ono… ono przeżera burty statku, sir. Wyżera dziury w burtach!

Idaho nadal znajdowało się na obszarze, w którym na powierzchni morza unosiła się jasna substancja. Kapitan Higgins zbiegł z mostka ma główny pokład. Craig ruszył w jego ślady. Zanim dobiegli do miejsca, w którym znajdował się marynarz, zebrało się już tam kilku oficerów. Wszyscy oni stali spoglądając w dół, na morze.

Craig wysilił się ponad balustradką, oglądając burtę. Strach zacisnął mu się na sercu żelazną obręczą.

Na linii wodnej widniało wielkie głębokie wcięcie, wytrawione w stalowym kadłubie Idaho. Płyty pancerza statku wykonane były z najlepszej jakości stali chromowej, obrabianej na gorąco i hartowanej. Zaprojektowane były, aby wytrzymać ostrzał szesnastocalowymi pociskami armatnimi. Użyta do ich produkcji stal, była najtwardszym metalem, jaki kiedykolwiek opuścił huty stali w Pittsburghu.

W miejscach, w którym stykała się z nią srebrzysta substancja, stal wyraźnie ulegała zniszczeniu.

– To kwas! – usłyszał Craig, jak wysapał jeden z oficerów. – Ta srebrzysta substancja musi składać się głównie z niego. Kwas! Rozpylili go na morzu.

– Wyznaczyli nasz kurs i przygotowali na nas pułapkę.

– To nie może być kwas – ktoś zaprotestował. – Nie dałoby się zapewnić na tyle silnego stężenia kwasu na powierzchni morza, żeby wyżarł dziury w stali.

– Nawet jeżeli wydaje się to niemożliwe, to jasne jak amen w pacierzu, że tak się stało!

Każda przechodząca fala uderzała oleistą cieczą o kadłub Idaho. Przy zetknięciu z nim, substancja cicho syczała i natychmiast rozpoczynała swoją śmiertelnie niebezpieczną robotę. Co się działo z poszyciem poniżej linii wodnej, nie było widać. Prawdopodobnie nie było tam żadnych

uszkodzeń, ponieważ kwas unosił się na powierzchni morza i nie stykał się z miejscami poniżej poziomu wody. Ale zniszczenia ponad linią wody, były wystarczająco duże! W stalowych burtach statku, już pojawiły się dziury głębokie na dwa cale.

– Cała naprzód! – rozkazał kapitan Higgins.

Ich jedyną nadzieją było wydostanie się z obszaru pokrytego kwasem, i to wydostanie się jak najszybsze. Ale… srebrzysta plama rozciągała się przez wiele mil. A w dodatku nie było sposobu dokładnego ustalenia jakie są rozmiary uszkodzeń poszycia statku. Wytrawiona linia, ciągnąca się dookoła całego kadłuba, mogłaby spowodować, że statek stałby się niezdolny do dalszej żeglugi.

Kapitan Higgins obrał jedyny możliwy w tej sytuacji kurs. Rozkazał, aby statek udał się w stronę lądu.

Dwie godziny później, Idaho spoczywał już w naturalnej przystani, położonej pomiędzy niskimi wzgórzami. W tym miejscu do morza uchodziła spora rzeka. W ciągu tych kilku godzin, w trakcie których prowadził statek w kierunku wejścia do tego portu, kapitan Higgins postarzał się o kilka lat. Nie miał żadnych map tego miejsca, ani sposobu określenia gdzie położony jest odpowiedni tor wodny, a gdzie czają się ukryte rafy, czekające tylko na to aby rozedrzeć dno statku. Prowadził go zupełnie na ślepo. Najtrudniejsze zadanie, jakiemu musi stawić czoła dowódca każdego statku.

Jak zraniony lew Idaho szukał spokojnego schronienia, w którym mógłby się położyć i zobaczyć jak mocno został ugodzony. Wchodząc do przystani, statek pakował się w miejsce, które łatwo mogło zmienić się w śmiertelną pułapkę dla niego, ale gdyby pozostał na zewnątrz, osłabione poszycie kadłuba mogłoby się poddać, a wtedy mógłby pójść na dno wraz ze wszystkimi na pokładzie.

Higgins wysłał inżynierów z załogi, aby określili jak poważne są spowodowane przez kwas uszkodzenia kadłuba. Razem z oficerami czekał na mostku, na raport inżynierów. Na powierzchni wody w przystani, nie było ani śladu kwasu.

Craig słyszał jak główny inżynier przekazuje sprawozdanie na temat bieżącej sytuacji.

– Kadłub jest tak słaby, sir, że statek może zatonąć dosłownie w każdej chwili. Każdy wysiłek związany z jego poruszeniem, może zniszczyć płyty poszycia do końca. Dziury w burtach, mają głębokość od sześciu do ośmiu cali, sir.

Ręce kapitana zacisnęły się tak mocno na otaczającej mostek poręczy, że jego palce aż wyraźnie zbielały.

– Bardzo dobrze – odparł. – Osadzić statek na plaży.

– Osadzić statek na plaży, sir?

– Tak. Jeżeli tutaj zostaniemy, możemy natrafić na większe ilości tego kwasu rozpylonego na wodzie, a w takim przypadku statek zatonie.

Załoga rozpoczęła przygotowania, do wykonania rozkazów. Idaho był przeszłością, był skończony, jego los został przypieczętowany.

Wysoko w górze, nadal krążył pojedynczy, uważnie wszystko obserwujący, bezgłośny samolot.

Higgins pogroził w jego stronę zaciśniętą pięścią.

– Niech was diabli wezmą… – powiedział. – Niech was diabli wezmą…

Idaho został uważnie wprowadzony w ujście rzeki, i płynął w górę, dopóki nie dotknął dna. Na szczęście dno w tym miejscu składało się z mulistego piasku. Okręt westchnął i osiadł na nim, jak zmęczony morski potwór, który wyszedł z oceanu, aby umrzeć. Wszyscy na pokładzie statku, zdawali sobie sprawę, że było to dla niego miejsce ostatniego spoczynku. Jego stalowe kości pozostaną tutaj, dopóki zupełnie nie przerdzewieją. Kiedy stępka statku ocierała się o dno, kapitan Higgins wyglądał jak człowiek słyszący swój własny wyrok śmierci, ale jego ciało było wyprostowane jak struna, a podbródek trzymał uniesiony wysoko.

Rozdział V

Ogrum

– **G**rupy zwiadowcze, na brzeg – rozkazał kapitan Higgins.

– Za twoim pozwoleniem – zaproponował Craig. – Z chęcią przyłączyłbym się do jednej z takich grup.

– Pewnie – odparł kapitan. – Zrobię nawet więcej –– zostaniesz dowódcą jednej z nich.

– Dziękuję, sir – powiedział Craig. Zgodnie z najlepszą tradycją marynarki wojennej, utrzymywał głos pod kontrolą, ale już na samą myśl i tym, serce wywinęło mu fikołka. Miał poprowadzić na ląd oddział błękitnych kurtek!

Zbierał właśnie swoją grupę, kiedy szaleńczo podekscytowany, podbiegł do niego Michaelson.

– Słyszałem, że zabierasz oddział na brzeg! – z podnieceniem wysapał naukowiec.

– Zgadza się – odparł Craig.

– Chcę pójść razem z wami.

– Chcesz iść razem z nami? – Craig popatrzył na pobliski brzeg. Ponad obramowującymi rzekę bagnami, z łopotem skrzydeł unosił się jeden z latających jaszczurów. W zakończonych szponami łapach niósł coś, co wyglądało jak mała małpa. Tu i ówdzie, z bagna dobiegały pokasływania i pochrząkiwania, oznaka tego, że czają się tam jakieś zwierzęta. – Chcesz pójść w głąb *czegoś takiego*? – dopytywał się Craig.

– No pewnie – energicznie odpowiedział naukowiec. – To jest dla mnie życiowa okazja. Będziemy mieć idealną możliwość obserwacji flory i fauny tych czasów. Obejrzymy je żywe. Żaden z naukowców nigdy jeszcze nie miał na to szansy.

– Wiesz, że największą szansę będziesz miał przede wszystkim na to, żeby cię coś pożarło – ponuro stwierdził Craig, kiwając głową w stronę brzegu. – To jest królestwo dżungli.

– Zabierasz do niego tych ludzi – zaprotestował Michaelson.

– Oni zgłosili się na ochotnika – wyjaśnił Craig.

– To ja również zgłaszam się na ochotnika – oznajmił Michaelson.

– No dobrze – powiedział Craig, uśmiechając się pomimo wszystko w duchu, z popędliwego sposobu w jaki naukowiec ładował się w coś, co w najlepszym przypadku mogło być paskudną sytuacją. – Weź dla siebie broń i chodź z nami… – Przerwał, wpatrując się w kolejną osobę, która do niego właśnie podchodziła.

Była to Margy Sharp. Od razu przeszła do rzeczy.

– A co w moim przypadku, gdybym ja również zgłosiła się na ochotnika? – spytała go.

– No cóż, niech mnie diabli – odparł Craig.

– Czy to znaczy, że mogę iść z wami?

– Nie, to nie znaczy! – z naciskiem oznajmił Craig. – To znaczy tylko, że zdumiony jestem, że mogłaś tak nagle i kompletnie postradać zdrowy rozsądek.

– Dlaczego nie mogę pójść z wami? – rzuciła wyzywająco.

– Ponieważ jesteś kobietą – oświadczył. – I ponieważ znalazłabyś się w zupełnie niewłaściwym miejscu. Żadnych targów, Margy. Nie dzisiaj, i nie każdego innego dnia, kiedy to ja będę miał coś do powiedzenia na ten temat. Zostań tam, gdzie powinnaś.

– Wy przeklęci mężczyźni, zawsze macie *całą* zabawę – gorzko stwierdziła dziewczyna, obracając się na pięcie.

Craig obserwował ją, jak maszeruje prosto do kapitana Higginsa i zgłasza mu to samo żądanie, przyglądając się zdziwieniu oficera marynarki. Jednak pomimo tego zdziwienia, kapitan zdołał bez większego trudu odpowiedzieć jej: „Nie”.

Ostatni raz kiedy ją zobaczył, wychylała się przez reling, obserwując jak mała łódź odpływa, udając się na brzeg. Pomachał jej ręką. W odpowiedzi zagrała mu na nosie.

Oglądając się do tyłu, kiedy zbliżali się już do brzegu, Craig widział że ciągle stała przy relingu. Usłyszał także głośny huk katapulty statku i zobaczył jak w powietrze wzbija się samolot. Kapitan Higgins wysłał go, aby dokonał zwiadu na otaczającym ich obszarze. Craig wiedział, co martwi kapitana. Miejsce z którego przyleciały te przeklęte ciche samoloty.

Wysoko na niebie, nadal było widać jeden z tych bezgłośnych szybowców, trzymających straż nad Idaho.

– Przebijemy się przez to bagno i dojdziemy do wzgórz – polecił Craig.

Kiedy przepychali łódź przez moczary pełne stojącej wody, w oddali huczały strzały. Najwidoczniej dochodziły one z miejsc, w których pozostałe wyprawy badawcze odpędzały latające jaszczury albo jakieś inne stworzenia. Raz w stronę ich łodzi, rzucił się latający jaszczur, ale zmienił zdanie i zaatakował coś innego. A kiedy przepychali lodź przez kępę trzcin, i wypłynęli dalej na kanał czystej wody, w pobliżu nich parsknęło coś monstrualnego. W plątaninie bagiennej roślinności zabrzmiały głośne trzaski.

– To wygląda na coś równie wielkiego jak słoń! – krzyknął Craig. – Trzymajcie broń pod ręką.

Widać było ruch trzcin, kiedy bestia przedzierała się przez nie w ich stronę. Małe drzewa trzęsły się całe, wskazując miejsce w którym się znajdowała, a potem zwierzę wystawiło łeb z gęstwiny, niecałe pięćdziesiąt stóp od nich.

– To jest dinozaur! – zawołał Michaelson. Naukowiec wyglądał na szaleńczo podekscytowanego. – To żywy dinozaur!

– Ten akurat zaraz będzie martwy, jeżeli podejdzie do nas choćby krok bliżej – ponuro stwierdził Craig.

– Nie, nie strzelaj – powiedział naukowiec. – To jest jeden z roślinożernych dinozaurów, żywi się roślinnością. Nie zrobi nam krzywdy.

Marynarze w łodzi nerwowo zaciskali palce na trzymanych w dłoniach pistoletach maszynowych, i wpatrywali się w górę cielska, na wpół ukrytą w poszyciu dżungli. W odpowiedzi, zwierzę również im się przypatrywało. Było większe niż jakikolwiek słoń stąpający po powierzchni Ziemi, a Craig oceniając wzrokiem rozmiary bestii, zaczął się zastanawiać, czy gdyby zwierzę zdecydowało się na atak, karabiny maszynowe w ogóle by je powstrzymały.

– Jeżeli będziemy musieli strzelać, celować mu w łeb – wyszeptał.

W porównaniu z resztą ciała, głowa zwierzęcia była mała. Stanowiła ona może trudniejszy cel, ale strzał w głowę powinien powstrzymać bestię, podczas gdy trafienie w olbrzymie cielsko mogłoby pozostać niezauważone. Dinozaur wpatrywał się w nich. Sekundy wydłużały się w minuty. Zatoczył głową koło, obwąchując powietrze. Michaelson już chciał wyskoczyć z łodzi, i popłynąć do brzegu, aby mu się dokładniej przyjrzeć.

– Siedź spokojnie w łodzi – energicznie zabronił mu Craig. – Pewnie jeszcze nie raz, będziesz miał możliwość przyjrzeć się wszystkim dinozaurom, jakim tylko będziesz chciał.

Mrucząc coś pod nosem, naukowiec zrezygnował z pomysłu.

Powoli, jakby obejrzawszy sobie wszystko to, na co miał ochotę, dinozaur okręcił się i odszedł z powrotem na bagna. Trzęsące się krzewy wskazywały kierunek, jaki obrał. Craig wypuścił powietrze z płuc, z westchnieniem ulgi.

– Mówiłem ci, że on nie był niebezpieczny – rozgoryczonym tonem stwierdził Michaelson. – Powinieneś pozwolić mi pójść i dokładniej go obejrzeć.

– Mniejsza o to – uspokajająco odparł Craig. – Kiedy już tu się osiedlimy, będziesz miał dinozaura jako zwierzątko domowe. No dalej, chłopcy płyniemy dalej – powiedział do marynarzy z załogi. – Chciałbym wejść na jedno z tych wzgórz i trochę rozejrzeć się dookoła.

Dotarli do miejsca, skąd nie można było już dalej płynąć łodzią. Zostawili więc ją pod strażą dwóch ludzi, i następnie ruszyli na piechotę. Bagno ustąpiło miejsca wznoszącemu się skalistemu terenowi, porośniętemu cienkimi pniami ogromnych drzew. Usłyszeli dziwny świst powietrza. Craig szybko spojrzał w górę i zobaczył latającego jaszczura prześlizgującego się przez otwarty teren między drzewami, a następnie pikującego z głową na dół, na coś skrytego poza znajdującymi się przed nimi skałami.

Kiedy latający smok zanurkował do ataku, rozległ się głośny krzyk.

W krzyku było coś ludzkiego.

– Ten jaszczur kogoś goni! – zawołał Craig. – Idziemy.

Gdyby nie wiedział, że to jest niemożliwe, mógłby przysiąc, że krzyk który usłyszał musiał wyrwać się z gardła kobiety. Ale przecież, w tym szalonym świecie nie było kobiet. Pędząc z najwyższą szybkością, wspiął się na szczyt wielkiej skały… i na dole zobaczył niewiarygodną scenę.

Stał na krawędzi skalistego wąwozu. Na wprost niego, po drugiej stronie wąwozu, w skalnej ścianie znajdowała się dziura, płytka jaskinia. Przy tylnej ścianie niewielkiego zagłębienia kucała kobieta. Wyraźnie coś osłaniała, własnym ciałem.

Koło wejścia do płytkiej jaskini stał… mężczyzna. Nie był może typem mężczyzny o wdzięku nadającym się na strony katalogów mody, ale pomimo potężnych węzłów mięśni i kudłatych, nieuczesanych włosów, miał w sobie jakąś zwinną energię i dziarskość, która była ujmująca.

Było jeszcze coś innego, co mogło się w nim podobać.

Sposób, w jaki stawiał czoła atakującemu gadowi.

Latający jaszczur próbował powalić mężczyznę swoimi szponami, pełną kłów paszczą, hakowatymi skrzydłami. Człowiek walczył z nim desperacko. Jego jedyną bronią była ciężka maczuga. Uderzał potężnie maczugą i odskakiwał w tył, unikając niebezpieczeństwa. Jaszczur napierał na niego. Człowiek uderzył go w głowę i odrzucił do tyłu. Gad upadł na ziemię. Natarł ponownie, ostro skrzecząc. Mężczyzna uderzył go maczugą, uchylił się w bok, uderzył ponownie. Jaszczur ponownie zaatakował.

Niezależnie od tego jak dzielnie by się nie bronił człowiek, koniec tej walki mógł być tylko jeden. Gad był za wielki, zbyt dziki, za bardzo odporny na ból, zbyt trudny do zabicia, aby mógł go powstrzymać człowiek uzbrojony jedynie w maczugę. Natarł ponownie. Człowiek uderzył go, ale poślizgnął się i upadł. Sycząc z tryumfem, łopocząc skórzastymi skrzydłami, latający jaszczur skoczył na niego.

Rat-tat-tat-tat –– Craig otworzył ogień ze swojego pistoletu maszynowego.

Rat-tat-tat-tat –– włączyli się również inni ludzie, zalewając dno wąwozu lawiną morderczego, krzyżowego ognia karabinowego. Jaszczur był niemal tak duży jak koń. Był zawziętym drapieżnikiem. Zdobycz porzuciłby dopiero po swojej śmierci, i ani chwili wcześniej. Jedna kula by go nie zatrzymała. Spadła na niego jednak lawina dziesiątków pocisków, zamieniając całe ciało jaszczura w krwawą miazgę. Nawet kiedy umierał, ciągle jeszcze próbował dosięgnąć szponami atakowanego przez siebie człowieka.

Strzelanina zakończyła się równie nagle jak rozpoczęła. Craig odsunął dymiącą broń od ramienia. Gad podskoczył w ostatniej konwulsyjnej drgawce i legł bez ruchu.

Mężczyzna pozbierał się i wstał na nogi. Nagła powalająca furia ognia z broni maszynowej, musiała wstrząsnąć nim aż do głębi. Stawiał przecież czoła śmierci, odważnie, i nagle śmierć powaliła na ziemię stworzenie,

które go atakowało. Stał bez ruchu. W jaskini za jego plecami, kobieta przestała piszczeć.

Mężczyzna kącikami oczu, rzucał na wszystkie strony czujne spojrzenia, szukając źródła, z którego nadszedł ten niespodziewany ratunek. Powoli obracał głowę. W końcu dostrzegł marynarzy na krawędzi wąwozu, naprzeciw siebie.



Jego twarz wykrzywiła się w wyrazie niemal paraliżującego lęku. Wcześniej stawił czoła jaszczurowi, nie okazując cienia tchórzostwa. Teraz, kiedy po raz pierwszy dostrzegł swoich wybawców, wyglądał na przerażonego. W jaskini za jego plecami, kobieta także zlokalizowała ludzi. Nie poruszając nawet jednym mięśniem, przycupnęła, opierając się o skalną ścianę. Craig widywał już dzikie zwierzęta, wystraszone nagłym pojawieniem się drapieżnika, które zachowywały się dokładnie w taki sam sposób. Królik, uświadamiający sobie atak jastrzębia, również byłby za bardzo przerażony, aby się poruszyć. Owca, widząc że zbliża się do niej wilk, przycupnęłaby drżąca, czekając na ostateczny skok.

– On się nas boi – szepnął Craig. – Nie róbcie żadnych gwałtownych ruchów.

Mężczyzna patrzył do góry, prosto na nich.

– Ogrum! – wyszeptał. – Ogrum…

Bardzo powoli, odłożył maczugę, kładąc ją koło siebie na ziemi. Potem rozciągnął się twarzą w dół, w czołobitnym pokłonie, starszym niż ludzka historia. W podobny sposób witały swoich zdobywców podbite rasy, w

podobny sposób klękali przed swymi panami niewolnicy –– w czasach kiedy jeszcze ludzie byli niewolnikami.

– Musiał sobie pomyśleć, że jesteśmy bogami – wyszeptał Craig. Było to logiczne wyjaśnienie zachowania człowieka, jednak jakoś nie do końca go satysfakcjonowało.

– On pomyślał sobie, że jesteśmy czymś innym – nie zgodził się z nim Michaelson. – Zachowuje się jak ktoś, kto rozpoznaje stojącego przed nim potężnego wroga. Zdecydowanie myli nas z kimś innym. Chodźmy. Chciałbym zejść tam do niego, na dno wąwozu.

Naukowiec już schodził w dół, po zboczu wąwozu. Craig szedł tuż za nim. Musiał uznać poprawność wnioskowania Michaelsona. Mężczyzna wyszeptał „Ogrum". Potem padł na kolana. Mogło być tylko jedno wyjaśnienie takiego zachowania, pomyślał sobie, że są kimś innym. Ta myśl wywołała w głowie Craiga pytanie: Co mogło być powodem tak przeraźliwego strachu przepełniającego tego człowieka? Jaka groza krążyła po tych dżunglach, której ten człowiek mógł bać się bardziej niż drapieżnego smoka?

Craig popatrzył do góry, na swój oddział czekający na krawędzi wąwozu.

– Uważajcie na wszystko – polecił.

– Tak jest, sir – popłynęła na dół odpowiedź. To był rozkaz, którego marynarze najprawdopodobniej wcale nie potrzebowali. I tak byliby w pogotowiu.

Michaelson miał taką ochotę na spotkanie z czekającym w pokłonie człowiekiem, że wręcz zbiegł na dół. Kiedy Craig dotarł do nich, tamten już pochylał się nad mężczyzną. Naukowiec był wręcz szaleńczo podekscytowany.

– On jest człowiekiem – paplał Michaelson. – Spójrz tylko sam, jeśli mi nie wierzysz. Zobacz, on ma wszystkie cechy charakterystyczne prawdziwej istoty ludzkiej!

Naukowiec zachowywał się, jakby oczekiwał, że Craig będzie dyskutował z tym twierdzeniem. Wysoki mężczyzna nie miał zamiaru tego robić.

– Oczywiście, że jest człowiekiem – powiedział. – A co w tym jest takiego dziwnego?

– Nie rozumiesz – wyjaśnił Michaelson. – On jest człowiekiem pierwotnym. Należy do pierwszej rasy prawdziwych istot ludzkich, jaka w ogóle pojawiła się na Ziemi. Znaleźliśmy człowieka samego zarania dziejów. To jest odkrycie o niesamowitym wręcz znaczeniu naukowym. Popatrz tylko na to! – Naukowiec wskazał ręką na maczugę. – Zaczął już używać narzędzi, ale nie nauczył się jeszcze łupać krzemieni. Pochodzi z epoki przed-kamiennej, zdecydowanie z epoki przed-kamiennej, ale również zdecydowanie jest już człowiekiem, posiadającym zdolność uczenia się, jak to wyraźnie dowodzi używanie przez niego maczugi. Już dokonał jednego z pierwszych wielkich wynalazków –– maczugi. Nie dokonał jeszcze drugiego wynalazku, ognia, ani trzeciego z wielkich odkryć, czyli w jaki sposób można łupać kamień. Nie mogę teraz nawet zacząć ci opowiadać, jakie to wszystko jest istotne.

Naukowiec wręcz wychodził z siebie z podniecenia. Craig uśmiechnął się szeroko. Jak widać nauka również miała swoje emocjonujące chwile, podobnie jak przygoda. Michaelson ewidentnie doświadczał właśnie jednej z największych pasji naukowych –– odkrycia.

Naukowiec natychmiast podjął próby porozumienia się z mężczyzną. Najpierw jednak musiał jakoś zdobyć jego zaufanie. Próbował to zrobić, przemawiając do niego łagodnym i delikatnym tonem. Mężczyzna usiadł wyprostowany i zaczął wpatrywać się w naukowca z oszołomieniem i zdziwieniem. Z tyłu, w płytkiej jaskini, kobieta cały czas kucała bez ruchu. Craig zauważył, że w trakcie walki chroniła swoim ciałem dziecko. Tak więc uratowali przed jaszczurem całą rodzinę. Pełnymi strachu oczyma kobieta przyglądała się, jak jej pan i władca rozmawia z obcymi.

– **N**azywa się Guru – powiedział Michaelson, wskazując ręką na człowieka pierwotnego. – Udało mi się zrozumieć trochę z tego co mi mówił. Jego język nie zróżnicował się jeszcze w złożone formy gramatyczne, tak więc bez większych trudności jestem w stanie uchwycić znaczenie tego co mówi. Powiedział mi, że żył na tym terenie od samego urodzenia, oraz że wielu więcej jego z jego ludu, mieszka w najbliższej okolicy. Mówił też, że żyją w rodzinach. Czy wiesz, co to znaczy? – podekscytowany naukowiec wyzywająco popatrzył na Craiga.

Craig, nie mogąc oderwać Michaelsona od człowieka pierwotnego, pozostawił dwóch ludzi aby pilnowali naukowca, i zabrał resztę na dalszą wyprawę zwiadowczą. Dopiero co wrócili.

– Nie, nie mam pojęcia, co to znaczy – odparł.

– To znaczy, że Guru i jego ludzie, nie osiągnęli jeszcze etapu rozwoju, opartego na organizacji plemiennej! – tryumfalnie ogłosił naukowiec. – Ciągle pozostają na etapie grupy rodzinnej i nie nauczyli się jeszcze wspólnego życia w plemionach.

Ton głosu Michaelsona sugerował, że uważa on swoje odkrycie za rzecz najwyższego znaczenia. Z naukowego punktu widzenia, prawdopodobnie, rzeczywiście było ono ważne. Ale Craig miał teraz inne sprawy na głowie.

– Spytaj go, za kogo nas wziął wtedy, kiedy nas po raz pierwszy zobaczył – polecił Michaelsonowi. – Spytaj go, dlaczego tak bardzo się nas wystraszył. Spytaj, kim są ci Ogrum.

Craig rozmawiał z naukowcem, ale przez cały czas obserwował Guru. Kiedy wspomniał o Ogrum, człowiek pierwotny cofnął się. W jego oczach pojawiła się obawa. Michaelson zaczął do niego mówić, korzystając z pomocy notatnika, w którym zapisał słowa, jakie poznał już wcześniej, a następnie uważnie przysłuchiwał się odpowiedzi Guru. Potem naukowiec zwrócił się do Craiga.

– Guru twierdzi, że ci Ogrum są bardzo źli – oznajmił. – Mówi, że są znacznie bardziej niebezpieczni niż *latająca-śmierć*, jak nazywają tego jaszczura, który atakował go, kiedy tutaj nadeszliśmy. Powiedział, że Ogrum również potrafią latać, oraz że są podobni do nas, tylko że inni. Kiedy nas po raz pierwszy zobaczył, wziął nas właśnie za Ogrum. Mówi, że

Ogrum polują na ludzi z jego rasy, chwytają ich w niewolę i zabierają do swojego miasta. Tam rzucają ich na pożarcie potworowi, który przez cały czas je.

– Potwór, który przez cały czas je! – z zamyśleniem zagwizdał Craig. – Co to u diabła może być?

Michaelson powtórzył Guru pytanie Craiga. Odpowiedź padała z przerwami, była udzielana niechętnie i z ociąganiem. W końcu naukowiec zwrócił się do Craiga:

– W ogóle nie jestem pewien, co on chciał przez to powiedzieć. Inne określenie znaczyłoby mniej więcej jasno ubarwiona bestia, która zawsze jest głodna. Nie wiem jednak, co to miałaby być za bestia, a Guru zdaje się nie jest w stanie mi tego powiedzieć. Jak mówi, nigdy jej nie wiedział, tylko o niej słyszał. Bardzo boi się Ogrum.

– Nie mogę go za to winić – stwierdził Craig. – Ale jacy oni są?

Wydawało się, że Guru nie jest w stanie uchwycić znaczenia tego pytania. Okazywał dziwną niechęć do dyskusji całego tematu. Tak bardzo bał się Ogrum, że w ogóle nie chciał nawet o nich rozmawiać. A przecież – – i ten fakt wywoływał na czole Craiga zmarszczkę zatroskania –– Guru nie był tchórzem. Widzieli go jak bez cienia strachu stawiał czoła latającemu jaszczurowi, latającej-śmierci. Co takiego wiązało się z tymi Ogrum, co powodowało, że Guru tak straszliwie ich się bał?

Guru wyglądał na nerwowego i zaniepokojonego. Nieustannie rozglądał się dookoła, po całym wąwozie, jakby usiłował wyczuć obecność jakiegoś ukrytego niebezpieczeństwa. Nagle uniósł głowę, i popatrzył do góry. Z jego warg spłynęło tylko jedno słowo:

– *Ogrum*! – wyszeptał. – *Ogrum*!

Craig spojrzał na niebo. W powietrzu na bezgłośnych skrzydłach leciał pojedynczy samolot w kształcie klina. Na pierwszy rzut oka wydawało mu się, że maszyna pikuje prosto w ich stronę. Potem zorientował się, że przeleciała nad nimi, zmierzając ku jakiemuś innemu celowi. Za pierwszym samolotem podążał drugi, a za tym z kolei trzeci. Na niebie widać było cały rząd maszyn, zmierzających bezgłośnie w kierunku jakiegoś tajemniczego celu.

W sekundę po dostrzeżeniu samolotów, cała kwestia tożsamości Ogrum wywietrzała Craigowi z głowy. Istotne było tylko, że to Ogrum latali tymi bezgłośnymi samolotami, że to Ogrum zaatakowali Idaho, że to oni rozpylili na powierzchni morza ten dziwny kwas, który uszkodził okręt. I to właśnie Ogrum przelatywali teraz nad ich głowami, zamierzając dokonać jakiegoś kolejnego ataku.

– Uciekać z otwartej przestrzeni, wszyscy! – krzyknął Craig. – Marynarze pośpiesznie wślizgnęli się w osłonięte miejsca. Craig przyłączył się do nich. Guru już wcześniej odskoczył do tyłu, w wejście do swojej jaskini.

– I gdzie te diabły lecą tym razem? – spytał Michaelson.

W sekundę później otrzymali odpowiedź.

Nad bagnami przetoczył się odgłos grzmotu artylerii przeciwlotniczej Idaho.

Ogrum lecieli, aby zaatakować pancernik, aby zadać ostatnie druzgocące uderzenie, wyrzuconemu na plażę statkowi wojennemu! Jak sępy krążące nad umierającym zwierzęciem, ich samoloty zataczały koła nad Idaho.

– Idziemy! – powiedział Craig. – Nie wiem, czy będziemy w stanie cokolwiek zrobić, żeby pomóc naszym, ale chodźmy tam i zobaczymy.

Kiedy w pośpiechu wychodzili z wąwozu, Craig zobaczył jak Guru gorączkowo pomaga swojej partnerce przenieść dziecko do wyżej położonej, bezpieczniejszej jaskini. Guru miał zamiar się ukryć. Pierwotny człowiek był w stanie stawić czoła latającym smokom, ale Ogrum, to dla niego było już za dużo. Craig nie winił go za to, że się chował. Pośpiesznie poprowadził swoją grupę w kierunku łodzi.

Zanim dotarli w miejsce, w którym pozostawili małą łódkę, usłyszeli za sobą trzaski. Odwrócili się, przykładając broń do ramion. W tej dzikiej dżungli, mogło ich zaatakować cokolwiek. Kiedy zobaczyli, kto podąża ich śladem, opuścili lufy karabinów.

To był Guru. Wymachując maczugą szedł, żeby się do nich przyłączyć. Coś paplał z podnieceniem.

– Mówi, że umieścił swoją żonę i małe, w miejscu gdzie będą bezpieczne – przetłumaczył Michaelson. – Chce się dowiedzieć, czy mamy zamiar walczyć z Ogrum.

– Powiedz mu, że tak – odparł Craig.

– W takim razie, on mówi, że chce iść razem z nami – przełożył naukowiec.

Przez chwilę Craig przyglądał się pierwotnemu człowiekowi. Guru był wystraszony. Jego strach był oczywisty. Nawet sama myśl o Ogrum już go przerażała. Ale jeżeli jego niedawno poznani przyjaciele mieli zamiar walczyć z diabłami rządzącymi dżunglą, on był razem z nimi!

– W nim – powiedział Craig z podziwem – bije waleczne serce. Chodź z nami, człowieku zarania, i niech los ci sprzyja.

Z Guru, który ich prowadził i wskazywał przejścia przez bagno, znaleźli się przy łodzi w ekspresowym tempie. Tymczasem, niebo wypełniło się wyraźnie słyszalnym, ale jeszcze poza zasięgiem wzroku, grzmotem dział.

– Artyleria przeciwlotnicza strąci te samoloty z nieba – powiedział jeden z marynarzy.

– Chciałbym również być tego taki pewien – odparł Craig.

– Co chciałeś przez to powiedzieć? – dopytywał się Michaelson.

– Ogrum musieli przecież wiedzieć, że mamy obronę przeciwlotniczą – z niepokojem oznajmił wysoki mężczyzna. – Zestrzeliliśmy jeden z ich samolotów, kiedy zaatakowali naszą maszynę zwiadowczą. Zdają więc sobie sprawę, że możemy i że będziemy z nimi walczyć. Jeżeli w tych okolicznościach nas zaatakowali, to może oznaczać tylko jedną z dwóch możliwości –– albo kompletnie oszaleli, albo myślą, że mogą nas dopaść, pomimo naszej artylerii przeciwlotniczej. Z tego wszystkiego co o nich słyszałem, to mogą być szaleni, założyłbym się jednak, że mamy do

czynienia z tym drugim przypadkiem. Wydaje im się, że mogą nas dopaść. Ćśśś… – Craig zaczął nasłuchiwać.

Ogień przeciwlotniczy zaczął się przerzedzać. Działa nie strzelały już tak gwałtownie, jak na początku bitwy. Z rosnącym niepokojem na twarzach, marynarze nasłuchiwali co się dzieje.

– Coś idzie nie tak – wymruczał jeden z nich.

– No dalej, ruszamy się – ostro rzucił Craig. Sam aż za dobrze zdawał sobie sprawę, że coś źle idzie. A kiedy przepychali łódź przez bagno, działa na statku zaczęły rozbrzmiewać wolniej i wolniej, aż do chwili kiedy tylko sporadyczne wybuchy wskazywały, że niektóre z nich nadal jeszcze były obsadzone.

Potem kanonada ustała zupełnie.

– Być może udało się ich odpędzić – zasugerował Michaelson.

– A może nie udało – z goryczą odparł Craig. – Spójrzcie tylko!

Zbliżali się do rzeki. Przez rzadziej zarośnięte miejsca, można było zobaczyć przystań. Na chwilę otworzył się przelotny widok na Idaho.

Samoloty Ogrum nadal nad nim krążyły.

Ogrum nie zostali odparci.

Oni odnieśli zwycięstwo!

Rozdział VI

Miasto Ogrum

Ukryty na brzegu Craig i jego ludzie, obserwowali rabowanie Idaho. Samoloty Ogrum ciągle zataczały koła w górze. Dziesiątki z nich jednak lekko osiadły na wodzie, dookoła skazanego na zagładę statku, a sami Ogrum wspinali się na pokład. Craig zrozumiał w jaki sposób statek został pokonany. Gaz! Wokół okrętu nadal unosiły się resztki rzadkiej białej mgiełki. Nurkujące samoloty rozpyliły nad statkiem jakiegoś rodzaju gaz. Ewidentnie był to środek bojowy odmienny od jakiegokolwiek znanego w odległym Dwudziestym Wieku, ale równie ewidentnie był on diabelsko skuteczny. Guru potwierdził fakt, użycia gazu.

– Biała chmura powoduje sen, jak mówi Guru – powiedział Michaelson.

Zanim jednak nadszedł sen, działa Idaho pobrały od atakujących odpowiednią zapłatę, o czym świadczyły rozbite samoloty, unoszące się na wodzie. Craig zauważył jak pilot jednej z tych maszyn, w oczywisty sposób ranny, sygnalizował innym Ogrum, aby mu pomogli. Jego pojazd tonął, a on nie był w stanie pływać. Towarzysze jednak kompletnie zignorowali wołanie rannego o pomoc. Samolot zatonął, a pilot Ogrum po krótkiej walce o utrzymanie się na wodzie, również poszedł na dno. W pobliżu niego były inne samoloty, które mogłyby go uratować, i z pewnością niektórzy z Ogrum musieli go widzieć, ale nie podjęli żadnej próby pomocy.

– Diabły! – ochrypłym głosem powiedział Craig. – To są diabły. Oni nie troszczą się nawet o własnych rannych towarzyszy.

– Jeżeli w taki sposób traktują swoich własnych rodaków, to co zrobią z wziętymi do niewoli jeńcami? – dopytywał się Michaelson.

Craig mógł jedynie popatrzeć na niego z przerażeniem.

– Spytaj go – wskazał palcem na Guru, – czy gaz zabija ludzi, którzy go wdychają?

Naukowiec przełożył pytanie. Guru, przykucając na pośladkach, powoli odpowiedział.

– Guru twierdzi, że oni tylko śpią, że po pewnym czasie zaczną się budzić – oznajmił Michaelson.

– Boże! – jęknął Craig. – Tego właśnie się obawiałem. Spytaj go, co Ogrum robią ze swoimi jeńcami?

Ponownie naukowiec zadał pytanie pierwotnemu człowiekowi.

– Powiedział, że Ogrum zabierają ich do swojego miasta, i tam rzucają ich na pożarcie białej bestii, która przez cały czas jest głodna.

Craig nic nie odpowiedział. Odwrócił się i patrzył na Idaho. Skóra na całej twarzy mocno mu się ściągnęła a w kącikach szczęk można było dostrzec węzły naprężonych mięśni. Widział Ogrum tańczących na pokładach. Wyglądali podobnie do ludzi, tylko ich ciała były w jakiś sposób zniekształcone, jakby nie miały właściwych proporcji. Jeden z nich był wysoki i bardzo chudy. Drugi dla odmiany niski i gruby. Kolejny miał jedną rękę dłuższą, a drugą krótszą. Jeszcze inny miał mocno wydłużony tułów, a do tego króciutkie nóżki. Już na sam ich widok, wzbierała w nim nienawiść.

– Niech was diabli – szepnął. – Niech was diabli…

Coś dotknęło jego ręki, Odwrócił się, i zobaczył, że to Guru wstał i podszedł do niego. Człowiek zarania, z wyrazem współczucia na twarzy, niezdarnie próbował poklepać go po ramieniu.

– Guru próbuje ci powiedzieć, że jest mu bardzo przykro – powiedział Michaelson.

– Dzięki – zduszonym głosem odparł Craig. – My… Jeszcze nas do końca nie pokonali.

W głębi serca jednak zdawał sobie sprawę, że mówiąc o tym, że nie są jeszcze pokonani, sam siebie usiłował podtrzymać na duchu. Jeżeli Ogrum potrafili pokonać Idaho, to cóż mogła przeciwko nim zdziałać niewielka garstka marynarzy? To prawda, że na lądzie było kilka wypraw zwiadowczych, ale wszystkie one razem, nie liczyły nawet pięćdziesięciu ludzi.

Jaką szansę mogło mieć pięćdziesięciu ludzi przeciwko Ogrum? Pięćdziesięciu ludzi uzbrojonych w karabiny półautomatyczne i pistolety maszynowe, podczas gdy na Idaho znajdowało się ponad tysiąc marynarzy, mających do dyspozycji działa przeciwlotnicze!

Z brzegu, Craig i jego towarzysze obserwowali jak Ogrum plądrują statek. To dziwne, ale napastnicy nie byli zainteresowani żadnym z urządzeń jakie znajdowały się na pokładzie potężnego okrętu. Zdobycz, która ich interesowała, byli to… ludzie. Sprowadzili duże samoloty do transportu ładunków, napędzane tymi samymi niesamowitymi bezgłośnymi silnikami, i zacumowali je na wodzie obok statku. Następnie zbierali ciągle uśpionych członków załogi i jednego po drugim wrzucali do czekających samolotów transportowych. Craigowi wydawało się, że widzi, jak do jednego z nich Ogrum cisnęli Margy Sharp. Siedział w milczeniu, przeklinając w duchu, z zaciśniętymi pięściami. Kilka razy Ogrum nie wcelowali odpowiednio podczas wrzucania ciał do samolotów transportowych, w wyniku czego, pozbawiony przytomności człowiek wpadał do morza. Ogrum nawet nie próbowali ratować upuszczonych ludzi, pozwalając im unosić się bezwładnie z prądem wody w rzece. W stronę bezradnie dryfujących ciał przez wodę zaczęły przesuwać się trójkątne płetwy.

– Ci, którzy wymkną się Ogrum, padną łupem rekinów! – gwałtownie zaklął Craig. Po podbródku spływała mu krew z przygryzionych warg.

Znajdujący się z nim marynarze, mieli białe twarze i zachowywali ponure milczenie. Michaelson, po przyglądaniu się tej scenie przez kilka minut, odwrócił się gwałtownie, i przeszedł kilka kroków dalej wzdłuż brzegu. Słyszeli jak dopadły go mdłości.

Jeden po drugim, ciężko obciążone samoloty transportowe, startowały wywożąc ładunki bezradnych ludzi. Nad nimi z szumem krążyły maszyny myśliwskie. Idaho pozostał opustoszały. Albo Ogrum nie wiedzieli, że na lądzie pozostali jeszcze jacyś ludzie, albo ich to w ogóle nie interesowało.

Słońce przesunęło się już nisko na zachód, zanim Craig ośmielił się zaryzykować powrót na Idaho. Stopniowo przyłączały się do niego inne wyprawy zwiadowcze, które z porozmieszczanych wzdłuż brzegu kryjówek, obserwowały rozwój wydarzeń. W milczeniu małe łodzie przemieszczały się w kierunku ogromnego opustoszałego statku wojennego.

Gaz już dawno temu zniknął ze statku. Do czasu zachodu słońca, Craig znał już całą sytuację.

Mniej więcej dwustu ludzi, którzy podczas ataku znajdowali się w niższych częściach okrętu, i których przed skutkami uśpienia gazem zabezpieczały zamknięte drzwi, obecnie przychodziło do siebie. Większość z nich była za bardzo chora, aby od razu był z nich jakiś pożytek. Pani Miller i jej córeczka zostały znalezione, ukryte w izbie chorych, i były bezpieczne, ale także chore.

Nie odnaleziono kapitana Higginsa.

Nie odnaleziono Margy Sharp.

Jeden z ludzi został wyciągnięty, cały trzęsąc się ze strachu, z najniższej ładowni, do której się schronił –– był to Voronoff.

Na górnym pokładzie, Craig przeprowadził naradę z Michaelsonem i Guru. Odpowiedzi na zadane pytania, nie rozwiały ponurego wyrazu jego twarzy. Zebrał wszystkich marynarzy razem.

– Rozmawiałem z Guru – oznajmił im. – Powiedział mi, że to miasto Ogrum, nie jest daleko stąd. Twierdził, że gdybyśmy wyruszyli tam lądem, to możemy do niego dotrzeć dzisiejszej nocy, a jeżeli użyjemy wielkich kłód, które pływają –– mówiąc to miał na myśli nasze łodzie motorowe –– to znaleźlibyśmy się tam nawet przed północą.

Przerwał na chwilę i wyczekująco popatrzył po zebranych marynarzach. Pomiędzy nimi przebiegło lekkie poruszenie. Natychmiast zrozumieli, ku czemu zmierzał.

– Ponadto – mówił dalej, – Guru powiedział mi, że samo miasto zazwyczaj nie jest chronione, ponieważ Ogrum nie mają w zwyczaju wystawiać posterunków wartowniczych.

Craig uważnie obserwował stojących przed nim ludzi. Na ich twarzach widać było twardość, rozgoryczenie i oburzenie. Wiedzieli jak ich kolegów wywożono, jak stosy drewnianych szczap, gdzieś gdzie czekał ich trudny do wyobrażenia los. Każdy z nich gotów był zaryzykować życie, aby uratować swoich przyjaciół, a gdyby to się nie udało, pomścić ich.

Craig potrzebował tylko kilku słów:
– Mam zamiar wybrać się do miasta Ogrum – oznajmił. – Wszyscy, którzy chcą iść ze mną, wystąpić krok do przodu.
Gwałtowny okrzyk, który zabrzmiał w odpowiedzi, powiedział mu wszystko, co chciał wiedzieć. Niebieskie kurtki były razem z nim. Tylko jeden z mężczyzn nie zrobił kroku przed siebie. To był Voronoff. Craig przyjrzał mu się uważnie.
– A co z tobą, Voronoff? – spytał go.
– Jesteś cholernym głupcem! – Voronoff wręcz wypluł z siebie te słowa. – Nie mamy żadnej szansy.
– Nie?
– Nie! Ogrum mają samoloty, gaz i te wszystkie inne rzeczy. Jeżeli ich zaatakujemy, to nas wykoszą.
– A więc jaki masz pomysł, co według ciebie powinniśmy zrobić? – wypytywał go Craig. Ton głosu jakim zadawał pytania był delikatny, a na twarzy miał wyraz zaniepokojenia. Wyglądał jak człowiek stojący wobec trudnego problemu do zgryzienia, i rozważający wszystkie możliwości, zanim zdecyduje się co zrobić.
– Jest tylko jedna rzecz, jaką możemy zrobić – warknął Voronoff. – Uciekać stąd do diabła, i to tak szybko jak tylko się da. Ukryć się w dżungli. Być może Ogrum nie zdają sobie sprawy, że niektórzy z nas pozostali przy życiu. Jeżeli ich zaatakujemy, to dowiedzą się, że jesteśmy żywi, i sprzątną nas wszystkich.
– Hmmm – stwierdził z zamyśleniem Craig. – W tym co mówisz, prawdopodobnie coś jest. Ale co z ludźmi złapanymi przez Ogrum?
Voronoff wzruszył obojętnie ramionami.
– Oni i tak są już skończeni – powiedział. – Na to co się z nimi stanie, nic nie jesteśmy w stanie poradzić.

Kiedy Voronoff to mówił, od strony tłumu marynarzy, doleciał cichy pomruk.
– Przypuszczam, że rzeczywiście możemy nie być w stanie zapobiec temu, co z nimi będzie – odparł Craig. – Ale ja osobiście, wybieram się tam po to, żeby jednak chociaż spróbować im pomóc. Będziemy potrzebowali każdego sprawnego fizycznie człowieka, jakiego mamy. To dotyczy również i ciebie, Voronoff. Chcesz iść z nami, czy nie?
Ton głosu Craiga ciągle był miękki i delikatny. Voronoff zinterpretował go zupełnie niewłaściwie.
– Na mnie możecie nie liczyć! – rzucił ostro. – Nie idę.
– Nie?
– Nie! Nie możesz zrobić ze mnie ochotnika, jeżeli ja nie będę tego chciał.
– Ale my ciebie potrzebujemy, Voronoff – poprosił Craig. – Potrzebujemy wszystkich sił, jakie jesteśmy w stanie zebrać.
– Możecie iść do diabła! – ponuro odparł Voronoff.
– A więc nie pójdziesz?

– Nie pójdę!

Craig spojrzał ponad burtą statku. Zapadł już zmrok, ale ciągle jeszcze było wystarczająco dużo światła, aby mógł dojrzeć trójkątne płetwy przecinające powierzchnię wody. Skinął głową w stronę wody.

– Posłuchaj, Voronoff. Albo pójdziesz z nami – powiedział akcentując każde słowo, – albo osobiście wyrzucę cię za burtę.

Voronoff wyglądał jak człowiek, który nie może uwierzyć własnym uszom. Od strony marynarzy dobiegł cichy pomruk aprobaty. Zapamiętali sobie, że kiedy wrócili na pokład pancernika, znaleźli tego człowieka kryjącego się w najniżej położonych zakamarkach okrętu. Kiedy ich uprowadzeni koledzy walczyli z wrogiem, on uciekł aby się schować.

– Ty… wcale tak nie myślisz – wyszeptał Voronoff.

– Nigdy nie myślałem inaczej – odparł Craig. – Nie potrzebujemy tutaj żadnych dekowników. Albo idziesz z nami, albo jazda na pokład i podejmuj ryzyko wyścigu pływackiego do brzegu.

Jego głos był twardy i stanowczy, nie było w nim najmniejszego śladu współczucia. Nie było możliwości, aby źle zrozumieć znaczenie jego słów. Voronoff zaczął robić się blady. Rozejrzał się szybko dookoła, jak gdyby szukając miejsca do ukrycia.

– Nie ma tutaj żadnej dziury, w której mógłbyś się schować – oznajmił Craig. – Jaka jest twoja odpowiedź.

Voronoff przełknął ślinę.

– Pójdę… pójdę razem z wami – powiedział w końcu.

– Dobrze – zakończył Craig. Wydał kilka szybkich rozkazów, w celu przygotowania wyprawy mającej dokonać ataku. Marynarze pośpieszyli realizować jego plany. Uświadomił sobie nagle, że Michaelson pociąga go za rękaw.

– Czy nie byłeś trochę za twardy dla niego? – dopytywał się Michaelson.

– Być może – odparł Craig. – Prawda wygląda tak, że go nie lubię. Jest w nim coś skrytego. Robi na mnie wrażenie czegoś bardzo zbliżonego do szczura. Ponadto, naprawdę będziemy potrzebować każdego człowieka, jakiego możemy znaleźć.

– Wiem, że tak jest – powoli stwierdził Michaelson. – Ale powiedz uczciwie, czy naprawdę wyrzuciłbyś go za burtę, gdyby odmówił pójścia z nami?

Craig wzruszył ramionami.

– Nie zadawaj mi takich pytań. Nie znam na nie odpowiedzi. Może zrobiłbym to, a może nie.

– Rozumiem. – Naukowiec uśmiechnął się. – Twardy z ciebie człowiek, Craig. Ale wszystko co mogę powiedzieć to tylko to, że w obecnej sytuacji, potrzebujemy twardego człowieka, i cieszę się że mamy ciebie i że możesz być naszym przywódcą.

– Dziękuję – odparł Craig.

Kilka godzin później Craig stał na zboczu góry, spoglądając na roztaczającą się w dole nieprawdopodobną scenerię. Przyprowadził ich tutaj Guru, wykorzystując kręte ścieżki, znane jedynie ludziom pierwotnym. Pod nimi leżało miasto Ogrum.

Miasto zostało zlokalizowane na brzegu rozległej, kolistej zatoki, która ewidentnie kiedyś, w bardzo odległej przeszłości, musiała być kraterem ogromnego wulkanu. Wschodni jego kraniec, gdzie ściany krateru zerodowały i legły w gruzach, obecnie był ogromnym bagniskiem, ulubionym miejscem żerowania dinozaurów. Słychać było całe setki wielkich bestii ryczących i walczących między sobą w bagnie.

Oczy Craiga przyciągało jednak bardziej samo miasto.

Widział wcześniej Ogrum w samolotach, widział jak używają gazu, a obie te rzeczy oznaczają istnienie rozwiniętej cywilizacji, posiadającej znaczną wiedzę o technice. Spodziewał się więc, że miasto będzie jasne od świateł, będzie liczyło setki tysięcy mieszkańców, będą w nim wielkie fabryki, szerokie ulice, i –– ponieważ używali samolotów –– lotniska.

Nie było widać żadnych tego rodzaju rzeczy. Miasto Ogrum było nieoświetlone. W widocznej części nie dawało się dostrzec ani szerokich ulic, ani fabryk. W całym mieście był tylko jeden duży budynek, a domy w których mieszkali Ogrum, wyglądały niewiele tylko lepiej niż prymitywne chaty. W górze świecił jaskrawy księżyc w pełni, wyraźnie ujawniający wszystkie szczegóły krajobrazu.

– To chyba jest niemożliwe! – szepnął Craig do Michaelsona. – To nie może być miasto Ogrum. Guru przyprowadził nas chyba w jakieś złe miejsce.

Naukowiec zaczął wypytywać Guru. Craig słyszał, jak człowiek pierwotny odpowiada na jego pytania.

– Guru twierdzi, że to właśnie tutaj – powiedział w końcu Michaelson. – Mówi, że to absolutnie jest miasto Ogrum i że nie ma żadnego innego ich miasta.

– Ale przecież za wyjątkiem tej świątyni, to miejsce to kupa śmieci! – zaprotestował Craig. – Widziałem papuaskich łowców głów, którzy budowali domy robiące znacznie lepsze wrażenie, niż te. Ogrum mają przecież samoloty. Nie można zbudować samolotu, bez złożonego systemu przemysłowego.

– Z całą pewnością, to bardzo dziwne – stwierdził z zadumaniem naukowiec. – Ale Guru upiera się, że jesteśmy we właściwym miejscu, a ja raczej jestem skłonny mu wierzyć. Zauważ też, że to miasto na dole, nie jest ułożone wzdłuż ulic, i nie widzę żadnych oznak sieci oświetleniowej.

– Może akurat mają zaciemnienie? – zasugerował jeden z marynarzy.

Guru, z którym skonsultowano tę kwestię, powiedział że nie, miasto Ogrum zawsze było ciemne w nocy. Guru miał mnóstwo problemów, żeby w ogóle pojąć, co oni rozumieli przez oświetlenie, ale kiedy już pochwycił tę ideę, upierał się, że Ogrum nigdy nie używali światła.

– No cóż, to jakaś cholerna tajemnica – stwierdził Craig. – Mam zamiar po prostu zejść tam na dół, rozejrzeć się trochę po okolicy i dowiedzieć się co nieco na ten temat. Guru, chodź ze mną,

W czasie kiedy płynęli łodziami, Craig spędził kilka godzin, próbując lepiej zrozumieć język pierwotnego człowieka. Ciągle jeszcze nie rozumiał wszystkiego, tak dobrze jak Michaelson, ale rozumiał wystarczająco dużo, jak na swoje potrzeby.

– Macie zamiar pójść tam tylko we dwójkę? – dopytywał się Michaelson.

– Tak. Liczniejsza grupa powiększałaby tylko szansę wykrycia. Trzeba rozpoznać układ terenu, no i zanim podejmiemy próbę akcji ratowniczej, musimy mieć jakieś pojęcie co do tego, co tam na dole napotkamy. W każdym razie, prawdopodobnie i tak nie będziemy w stanie zaatakować przed jutrzejszą nocą.

Po rozmieszczeniu swoich ludzi i poleceniu im, aby wypoczęli najlepiej jak to tylko możliwe, Craig ruszył z Guru na dół, do miasta Ogrum. Michealsona trzeba było powstrzymywać niemal siłą, przed pójściem z nimi.

– Zostajesz tutaj – Craig jasno i wyraźnie powiedział naukowcowi. – Nie jesteś już taki młody jak ja i potrzebujesz trochę odpoczynku.

W górze świecił ogromy tropikalny księżyc. Było niemal zupełnie bezwietrznie. Jedyne odgłosy przerywające ciszę nocy, dobiegały od strony wielkiego bagna, wrzaski dinozaurów, ryki wielkich lwów, żyjących w tych czasach. Pod nimi w dole rozpościerało się dziwne miasto Ogrum.

Kiedy wraz z Guru schodzili po zboczu góry, Craig czuł spoczywający mu na barkach niesamowity charakter całej tej sytuacji. Jakiego rodzaju stworzeniami byli Ogrum? Jaka tajemnica kryła się za ich istnieniem? Nie pozostawili po sobie żadnych śladów w historii, przynajmniej o ile wiedział. Jak do tej pory cywilizacja ludzka nie zdawała sobie sprawy nawet z tego, że Ogrum w ogóle istnieli. Ale przecież –– przyszła mu do głowy zaskakująca myśl –– w słowniku istnieje pewne słowo, podobne do określenia opisującego te stworzenia –– ogry! Ogry i Ogrum, to brzmiało bardzo podobnie. Czyżby to były oryginalne ogry, te mitologiczne potwory, pożerające istoty ludzkie? Czy Ogrum, których znali, obawiali się, i nazwali ludzie pierwotni, mogli trafić do legend jako ogry?

Ta myśl wywołała u Craiga dreszcz pełznący wzdłuż kręgosłupa. Czy zmierzali prosto do miasta potworów? Czy Śmierdziel Higgins, Margy Sharp i setki ludzi z Idaho, byli przetrzymywani jako więźniowie przez ogry? Jaki straszliwy sekret krył się tam w dole, w tym cichym mieście?

Dotarli do granic miasta. Było większe, niż wcześniej myślał Craig. Setki, być może nawet tysiące prymitywnych chat, kryło się w zaroślach dżungli. Wszędzie unosił się obrzydliwy zapach. Najwidoczniej nie czyniono tutaj żadnych działań, w kierunku poprawy stanu sanitarnego. Z ziemi wręcz buchał budzący mdłości smród. Craig zmarszczył ze wstrętem nos.

– Zgnilizna! – wymamrotał pod nosem. – Temu miejscu, najbardziej ze wszystkiego, przydałoby się, aby wypalić je do szczętu. Gdzie Ogrum, Guru? – powiedział, zwracając się do pierwotnego człowieka.

– Ogrum spać – odparł Guru. – W małe jaskinie – dorzucił jeszcze, kiwając głową w stronę chat. – Ogrum spać.

– A więźniowie gdzie? – spytał Craig. Musiał przebudować pytanie i powtórzyć je kilka razy, zanim pierwotny człowiek je zrozumiał.

– Duża jaskinia – oznajmił Guru, zrozumiawszy w końcu o co chodzi.

– Gdzie duża jaskinia? – spytał Craig.

– Wielka skała jaskinia – odparł Guru, wskazując ręką w kierunku dużej kamiennej świątyni, która stała w centrum miasta.

– A więc to tam idziemy – powiedział Craig. – No dobrze, chodźmy.

Guru jakoś się ociągał. Craig wyczuł strach pierwotnego człowieka. – O co chodzi, coś nie tak? – zapytał go.

– W duża jaskinia, potwór który zawsze być głodny – wyjaśnił Guru.

– Ach – zrozumiał Craig. Potwór, który zawsze jest głodny! Jasna bestia, która przez cały czas je! Kiedy przypomniał sobie, jak Guru opisywał to coś, cokolwiek by to nie było, które jest w jaskini, przeszedł go dreszcz. – Co to za potwor – zaczął się dopytywać.

Ale Guru albo go nie rozumiał, albo nie potrafił mu tego wyjaśnić, tak więc Craigowi nie udało się wydobyć od niego żadnych przydatnych informacji na temat natury potwora. Domyślał się jednak, że Ogrum uważali to stworzenie w świątyni za boga, i składali mu ofiary. Guru potwierdził te wrażenia.

– Jutro, kiedy odejść słońce – opowiadał dalej Guru, – Ogrum rzucić jednego człowieka na pożarcie jasnej bestii, która zawsze być głodna. Następnego dnia, kiedy odejść słońce, znowu nakarmić bestię. I tak być, dopóki nie zostać już nikt do pożarcia. Wtedy oni wyruszyć szukać nowych ludzi.

Craig uznał opisywane widowisko za niewiarygodnie starożytny rytuał składania ofiary, mający zapewniać ponowny powrót słońca. Ogrum zdawali się nie posiadać żadnej rzeczywistej wiedzy o budowie wszechświata. Każdej nocy, kiedy słońce zachodziło za horyzontem, nie byli pewni, czy pojawi się ono ponownie. Aby upewnić się, że jasne światło na niebie znów powróci, składali mu ofiarę z człowieka.

– A co robią, kiedy zabraknie im jeńców? – zapytał.

– Łapać jakiegoś Ogrum i rzucić go bestii – odparł pierwotny człowiek.

Kiedy brakowało im jeńców, Ogrum poświęcali swoich własnych współrodaków!

– No cóż, musimy więc dowiedzieć się co jest w tej świątyni, i gdzie trzymają naszych ludzi – ponuro stwierdził Craig. – Jeżeli Guru się boi, Guru może zostać tutaj. Pójdę dalej sam.

Guru bał się. Nie było co do tego nawet cienia wątpliwości. Craig nie krytykował pierwotnego człowieka za jego strach. W gruncie rzeczy, uważał go za przejaw rozwagi i zdrowego rozsądku. Ale niezależnie od tego, czy bał się, czy nie, Guru poszedł razem z nim. Prześlizgując się, jak para duchów, pustymi ścieżkami, służącymi tutaj za ulice, weszli w głąb śpiącego miasta. Guru był niemal tak cichy jak cień, a Craig, z wytężonymi wszelkimi zmysłami, poruszał się równie bezgłośnie jak Indianin. Wysoki Amerykanin, zdawał sobie sprawę, że z każdej z mijanych chat, w każdej chwili, może wyłonić się jakiś Ogrum.

Dotarli do świątyni niezauważeni przez nikogo.

Budynek był znacznie większy, niż wydawało się to, patrząc ze szczytu góry. W przeciwieństwie do chat, zbudowany był z kamienia. Miał z grubsza kolisty kształt, a zewnętrzną ścianę otaczał rząd kolumn. Konstrukcja była bardzo prymitywna. Ogrum w swojej architekturze albo jeszcze nie wynaleźli łuku, albo pogardzali jego użyciem. Jako wejścia służyły liczne dziury, na tyle duże, aby mógł w nich stanąć wyprostowany człowiek, ale tylko nieznacznie większe. Dziury pozbawione były drzwi, kolejny wynalazek, którego ewidentnie Ogrum jak do tej pory nie dokonali. Craiga ponownie uderzył dziwnie wypaczony rozwój tej rasy, która znała sposób na budowanie samolotów i wiedziała używać trujących gazów, ale ciągle jeszcze nie potrafiła budować łuków.

W przeciwieństwie do całego miasta, świątynia była pilnowana. Odziani w żółte szaty wartownicy z wygolonymi głowami, krążyli dookoła budynku, trzymając się w obrębie kręgu kolumn.

– Przyjaciele jasnej bestii, która być zawsze głodna – jak określił ich Guru. Craig zdecydował, że to muszą być jacyś kapłani, strażnicy świątyni. Jak widział, uzbrojeni byli we włócznie i miecze. Dodatkowo, każdy z wartowników nosił torbę, pełną małych, okrągłych przedmiotów, wyglądających podobnie do granatów.

– Czy to naprawdę mogą być *granaty*? – szepnął Craig. Guru jednak nigdy nie słyszał o granatach. Nie rozumiał o co mu chodzi. Craig nie miał również możliwości wytłumaczenia mu tego, tak by zrozumiał.

Przez małe ciemne dziury, służące jako wejścia do wnętrza świątyni, od czasu do czasu można było dostrzec sporadyczne błyski światła. Światło było przyciemnione, wyglądało prawie jak migocząca poświata ogniska, które niemal już się dopaliło.

– Co to może być? – spytał Craig.

Ale Guru albo nie wiedział, albo kierowany jakimiś powodami wynikającymi z przesądów, nie chciał mu tego powiedzieć.

– Wchodzę do tej świątyni – zdecydował Craig. – Zostaniesz tu i zaczekasz na mnie.

Tym razem Guru nie nalegał, żeby pójść razem z nim, i Craig uświadomił sobie, że człowiek pierwotny desperacko boi się tego czegoś, co znajduje się w środku świątyni. Craig poczekał aż przejdzie jeden z krążących wartowników i pomknął w stronę najbliższego wejścia.

Wślizgując się do budynku, zdawał sobie sprawę z tego, że istniała naprawdę duża szansa, że nigdy już stamtąd nie wyjdzie, ale musiał wejść do środka. Musiał się dowiedzieć, co jest w tej świątyni, tak by mógł zaplanować jak z tym czymś walczyć. Musiał się dowiedzieć, gdzie są przetrzymywani uwięzieni ludzie z Idaho, jak dobrze są oni pilnowani, oraz czy możliwe jest zorganizowanie dla nich jakiegoś sposobu ucieczki. W końcu musiał poznać rzeczywistą naturę jasnej bestii, która zawsze jest głodna, boga Ogrum.

Co to mógł być za potwór, który zawsze jest głodny? Jakiś czarny, krzywo spoglądający bałwan, na ołtarzu którego codziennie składano żywą ludzką ofiarę? Albo może było to coś zupełnie innego, jakiś prawdziwy potwór, w którego Ogrum uwierzyli, że jest ich bogiem?

Kierując się kapryśnym migotaniem światła przed sobą, Craig prześlizgnął się wzdłuż ściany przejścia, które w gruncie rzeczy było sztucznym tunelem. Doszedł do jego końca i zatrzymał się jak wryty, przerażony tym, co przed sobą zobaczył.

Świątynia została zbudowana na podobieństwo olbrzymiego amfiteatru, jak jakaś wielka niecka stadionu, na którym odbywały się zawody sportowe. Okrążając ją w uporządkowanych rzędach, w dół schodziły poziom za poziomem, toporne kamienne stopnie. Na samym dole, pod nim, w olbrzymiej skalnej czarze, która ewidentnie musiała wyrastać z samych fundamentów góry, widać było… *wściekle kipiącą masę rozgrzanej do białości, bulgocącej lawy*!

Miasto Ogrum, jak już wcześniej przypuszczał, zostało ulokowane w kraterze wygasłego wulkanu. Tylko że wulkan wcale nie był wygasły. Był jedynie nieaktywny. W jego sercu ciągle płonęły ognie, a rozgrzana do białości lawa utrzymywana była w równowadze przez jakiś układ ciśnienia podziemnych sił, wypływając w tym miejscu jak gejzer, który nigdy się nie przelewa, ale i nigdy nie opada.

To właśnie ta wypełniona lawą niecka, wznosząca się nad spoczywającym pod nią wulkanem, była tym co Guru nazywał bestią, która zawsze jest głodna. To był bóg Ogrum. W jednej chwili Craig zrozumiał, dlaczego oni go czcili, i dlaczego rzucali mu na pożarcie ludzkie ofiary. Lawa była jasna i gorąca, tak samo jak i słońce. Tak więc, zgodnie z prawami magii, ofiara złożona reprezentującej je lawie, była tym samym czym ofiara złożona samemu słońcu. Ogrum, istoty świata prehistorycznego, pomimo posiadania samolotów i trujących gazów, nie miały rzeczywistej wiedzy naukowej, nie znały empirycznych praw przyczyny i skutku. Ogrum myśleli że mogą sobie zapewnić powrót ciepłego, życiodajnego słońca, składając żywą ofiarę, wrzącej lawie!

Nawet jeżeli ich rozumowanie było fałszywe i wynikało z błędu, to tym niemniej jego skutki dla ofiar były straszliwe i rzeczywiste. Ponieważ, jeżeli nie zapobiegnie się temu siłą, z pewnością złożą tutaj w ofierze wszystkich ludzi zabranych z Idaho.

Po drugiej stronie areny, widać było wyraźnie większy otwór, zamknięty przez kratę z drewnianych kołków. Migotliwe światło wylewające się z basenu bulgocącej lawy, pozwalało mu również dostrzec twarze po drugiej stronie kraty –– to byli więźniowie. Mimowolnie ruszył w ich stronę. Potem zobaczył jednak grupę ubranych na żółto strażników z wygolonymi głowami, stojących obok wejścia.

Ogrum byli czujni!

Analizując sytuację, Craig nie mógł znaleźć żadnego sposobu, przy pomocy którego mógłby osiągnąć uwolnienie tych ludzi. Miał do pomocy

jedynie garstkę marynarzy. Ogrum były całe tysiące. Ogrum mieli samoloty, a nawet jeżeli nie posiadali broni palnej, to z pewnością mieli inne uzbrojenie.

– Zaskoczenie! – pomyślał sobie Craig. – Musimy w jakiś sposób wziąć ich z zaskoczenia i odwrócić ich uwagę na dostatecznie długi czas, aby uwolnić naszych ludzi. Potem… – Zaklął cicho pod nosem. Przyjmijmy nawet, że nagły atak z zaskoczenia, pozwoli im uwolnić więźniów. Ale co się stanie potem?

– Oni uderzą na nas z samolotów! – zaklął Craig. – Zagazują nas i rozpylą na nas kwas. Nawet jeżeli uda nam się stąd uciec, to będą nas śledzić z powietrza. – Oczy lekko mu się zwęziły. – To znaczy, że musimy im wysadzić w powietrze hangar, zniszczyć ich samoloty. I to wszystkie na raz. A więc…

Plan dojrzewał w jego umyśle. Wyślizgnął się ze świątyni, wybierając odpowiedni moment i przemknął przez otwartą przestrzeń, kiedy w pobliżu nie było żadnego wartownika. Przyłączył się do czekającego Guru.

Człowiek pierwotny niemal szalał z podekscytowania.

– Widzieć potwora? – dopytywał się gorączkowo.

– Nie ma żadnego potwora – ponurym tonem stwierdził Craig. – Guru, gdzie jest jaskinia w której Ogrum trzymają swoje ptaki do jeżdżenia?

Dla Guru samoloty były tylko dużymi ptakami, na których jeździli Ogrum. Craig pytał więc człowieka pierwotnego, gdzie znajduje się hangar. Guru poprowadził go dookoła budynku świątyni, pokazując mu w końcu wystające z niego skrzydło.

– Ptaki trzymać tam – powiedział.

Hangar nie był niczym zamknięty. W zgodzie ze swoją ignorancją w sprawie drzwi, Ogrum nigdy nie wynaleźli żadnych metod zamknięcia wejścia do budynku w którym trzymali –– i bez wątpienia również budowali –– samoloty. Otwarta przestrzeń, rozciągająca się od hangaru aż do brzegu zatoki, ewidentnie stanowiła lądowisko służące do startu i lądowania samolotów. Wewnątrz budynku, Craig mógł przelotnie rzucić okiem na dziwne statki powietrzne Ogrum. Poza regularnymi posterunkami, krążącymi wokół olbrzymiej świątyni, sam hangar nie był strzeżony.

– **N**ajpierw dwudziestu ludzi z granatami, uderzy na hangar! – rozmyślał Craig. – Zniszczą im samoloty, a potem upozorują swój odwrót. Ogrum ruszą za nimi. W międzyczasie, po drugiej stronie miasta, pojawi się znienacka grupa kolejnych dwudziestu ludzi i zacznie podpalać te kurne chaty. Ogrum będą kompletnie zdezorientowani. Zanim zdołają się zorganizować, ja na czele setki ludzi, uderzę na świątynię. Na Boga, to naprawdę powinno się udać!

Jego radość po chwili nieco opadła.

– Tylko że potem – rozmyślał dalej Craig, – umrzemy jeden po drugim w trakcie nieustannej ucieczki. Ogrum, nawet pozbawieni swoich samolotów, będą już zawsze polować na nas po całej dżungli.

Zastanawiał się, szukając rozwiązania tego nowego problemu. Uwolnienie więźniów, jedynie po to, aby wszyscy zginęli w wyniku nieustannych ataków Ogrum, nie było dobrym rozwiązaniem.

– Jedynym sposobem na powstrzymanie Ogrum przed pościgiem za nami, jest zniszczenie ich –– całkowite! – ponuro pomyślał Craig. Nie miał żadnych oporów co do zniszczenia Ogrum, jeżeli tylko będzie do możliwe. Jedynym problemem było, jak! Nie miał dostatecznej liczby ludzi i wystarczającej siły ognia, aby spotkać się z nimi w otwartym boju. A jednak jakoś musiał ich zniszczyć.

– Wracamy do pozostałych – oznajmił Guru.

Człowiek pierwotny poprowadził ich inną drogą, wiodącą przez drugi kraniec miasta Ogrum. Tam natknęli się na ciężki kamienny mur, przypominający umocnienia na nabrzeżach rzeki.

– Dlaczego mur, Guru? – dopytywał się Craig.

– Utrzymywać kroczące góry poza miejscem spania Ogrum – odparł człowiek pierwotny. „Kroczące góry”, tak Guru nazywał dinozaury, zaś określenia „miejsce spania” używał w stosunku do miasta. Za murem, było więc olbrzymie bagnisko. Ogrum wznieśli tę ścianę, aby nie pozwolić dinozaurom na wdarcie się do miasta.

– No cóż, niech mnie diabli… – stwierdził z zamyśleniem Craig. – Podziwiam. Pośpieszmy się, Guru. Musimy wrócić przed wschodem słońca.

Szybkim truchtem, człowiek pierwotny poprowadził go po zboczu góry.

– **T**ak właśnie musimy zrobić – powiedział z podnieceniem Craig do Michaelsona. Słuchający go uważnie marynarze, przysiedli dookoła nich w ciemnościach. Do świtu nie pozostało już zbyt wiele czasu. Niebo na wschodzie, z wolna zaczynało robić się lekko szare.

Szybko zarysował swój plan ataku, przedstawiając go naukowcowi.

– Niestety, nie znam się na strategii wojskowej – ważąc słowa odparł Michaelson. – Nie mam więc odpowiednich kompetencji, aby krytykować lub nie, twoje sugestie.

– Ale ja mam – odezwał się czyjś głos. – Studiowałem strategię wojskową. Twój plan nie ma nawet jednej szansy na tysiąc, na powodzenie. Po prostu pozabijasz nas wszystkich, i to na próżno.

Tym, który się odezwał, był Voronoff.

– Być może masz rację – przyznał Craig. – Jeżeli masz lepszy plan, to proszę, jestem skłonny go wysłuchać.

– Mówiłem przecież już wam wszystkim, że jedyną sensowną rzeczą, jaką możemy zrobić, to wynieść się stąd, tak szybko jak tylko to będzie możliwe.

– Tyle że to jest jedna z tych rzeczy, jakich nie możemy zrobić – lodowatym tonem wycedził Craig. – Jeżeli nie masz nic konstruktywnego do zaproponowania, to lepiej trzymaj tę swoją przeklętą gębę zamkniętą na kłódkę.

Voronoff ponuro odsunął się w mrok.

Craig wybrał grupę, mającą zaatakować hangar, w którym trzymane były samoloty, drugą grupę do przeprowadzenia uderzenia dywersyjnego po przeciwległej stronie miasta, oraz trzecią, z zadaniem zdobycia świątyni i uwolnienia więźniów. Atak miał się rozpocząć tuż po zapadnięciu ciemności, następnego wieczora. W tym czasie, tak jak mówił Guru, wszyscy Ogrum powinni zebrać się w świątyni, aby obserwować składanie ofiary.

– A potem? – powoli zapytał Michaelson. Co się stanie potem?

– Ach – odparł Craig. – To jest właśnie gwóźdź całego programu. Od tego, co się stanie potem, zależy czy ktokolwiek z nas w ogóle wydostanie się stamtąd żywy. I – popatrzył spokojnie na naukowca, – to jest właśnie miejsce, w którym rozpoczyna się twoja rola.

– Ja? A co ja niby mam takiego zrobić?

– Ty i Guru weźmiecie kilkunastu marynarzy, i zbierzecie tylu ludzi Guru, ilu tylko uda wam się znaleźć. I to jest właśnie najważniejsze zadanie jakie macie do wykonania.

Craig z najdrobniejszymi szczegółami zarysował tę część planu ataku na miasto Ogrum, jaką mieli do wykonania naukowiec i człowiek pierwotny. Tworzyli dziwaczną parę. Michaelson, fizycznie niemal słabeusz, ale posiadacz jednego z najlepszych umysłów dwudziestego wieku, oraz Guru, wspaniale umięśniony gigant, ale umysłowo niemal dzieciak.

– Czy… czy myślisz, że to nasze zadanie do wykonania podczas ataku, że to naprawdę się uda? – niepewnie spytał naukowiec.

– To musi się udać – otwarcie odpowiedział mu Craig. – Jeżeli to się nie uda, to wszyscy już jesteśmy martwi.

Rozdział VII

Atak

O zmierzchu w świątyni Ogrum zaczął huczeć bęben. Słońce znajdowało się już niemal tuż ponad linią horyzontu. Wisiało na niebie jakby nie mogło się zdecydować, czy zanurzyć się poza obręcz opasującą świat, czy nie. Przycupnięci czekali ukryci w górach, tak blisko miasta, jak tylko Craig ośmielił się podprowadzić swoich ludzi. Widać było stamtąd wyraźnie Ogrum, którzy na sygnał bębna, pośpiesznie ruszyli w stronę świątyni, tak jakby niecierpliwie oczekiwali na swój diabelski obrzęd, który wkrótce miał się odbyć.

Po jednej stronie miasta, za szerokim przesmykiem w górach, rozciągały się bagna, na których żerowały dinozaury. Już wcześniej słychać było stamtąd odgłosy wielkich bestii, walczących między sobą i ryczących.

Przez cały dzień Amerykanie pozostawali w ukryciu w pobliżu miasta. Na szczęście żaden z Ogrum nie wypuścił się na jakąś awanturniczą wspinaczkę górską. Craig wykorzystał cały ten czas, bezlitośnie ćwicząc swoich ludzi w wykonywaniu zadań, związanych z rolami jakie mieli odegrać podczas ataku, aż do chwili, kiedy opanowali je do perfekcji, lub niemal do perfekcji, w stopniu jaki można było osiągnąć w tym krótkim dostępnym czasie. Cały plan ataku zależał od zachowania niemal sekundowej synchronizacji działań. Jeżeli wszystko się uda, jeżeli każdy wykona swoje zadanie o właściwym czasie, to była duża szansa na to, że atak zakończy się powodzeniem. Jeżeli jednak cokolwiek się posypie –– Craig wolał nawet o tym nie myśleć. Kiedy stopniowo zbliżała się godzina zero, czuł jak w zgromadzonych wokół niego ludziach, zaczyna wzbierać napięcie.

Ogrum, jakby popędzani przez coraz szybszy rytm bębna, znikali we wnętrzu świątyni.

Słońce, decydując się w końcu na działanie, zanurzyło się pod linię widnokręgu.

Godzina zero!

Craig nie mógł ich zobaczyć, ale wiedział, że właśnie z ukrycia wyskoczyli marynarze i biegli w stronę wystającego ze świątyni skrzydła, które mieściło hangar dla samolotów. Jego dłonie ścisnęły kolbę pistoletu maszynowego tak mocno, że koniuszki palców zrobiły się niemal białe. Musieli najpierw zdobyć ten hangar. Samoloty musiały zostać zniszczone.

Kilka razy w ciągu dnia widzieli, jak startują kolejne maszyny. Wszystkie jednak powróciły na noc.

Sępy siedziały w swoim gnieździe.

Bum, bum-bum, BUUUM, bum.

Na ten dźwięk Craig nieomal się rozpłakał. Eksplozje granatów! Granatów wrzuconych do hangaru przez atakującą grupę. Granatów, wybuchających pomiędzy tajemniczymi samolotami Ogrum!

Bum, bum, bum-bum-bum! Granaty eksplodowały jak seria gigantycznych petard. W gorącym wieczornym mroku Craig dostrzegał króciutkie rozbłyski światła, powodowane przez ich detonacje.

Bum, bum, bum, bum-bum!

Głuche stłumione huki odbijały się echem od górskich zboczy. Z ciemności, w których czekali przycupnięci marynarze, dobiegły przyciszone owacje tryumfu. Znajdujący się w mroku nocy ludzie, zdawali sobie sprawę ze znaczenia tych eksplozji.

Craig wstrzymał oddech, czekając w napięciu. Atak się rozpoczął. Niezależnie od tego co się stanie, było już za późno na odwrót. Teraz, była to już kwestia tego aby zabić, albo samemu zostać zabitym, walczyć, albo zostać powalonym, zniszczyć, albo zostać zniszczonym. Ponieważ ludzie wiedzieli o tej dzikiej ofierze, która właśnie miała się odbyć w świątyni, nie było żadnej potrzeby, aby ich namawiać i popędzać do zniszczenia. Ogrum nie mieścili się w obrębie ludzkiego pojęcia litości. Wysadzić ich, wykosić ogniem karabinów, zabić ich, zniszczyć ich całkowicie!

Craig ciągle czekał. Pistolety maszynowe grzechotały w ciemnościach. Huczały granaty. Potem zobaczył to, na co czekał. Z hangaru wydostał się język ognia.

Ogień w gnieździe sępów!

Płomienie gwałtownie rosły w siłę.

– Cofać się! – ochrypłym głosem powiedział Craig. – Odwrót. Pociągnąć ich za sobą.

Mówił sam do siebie. Atakujący hangar ludzie nie mogli go usłyszeć. Ale odwrót był następną fazą ataku. Wycofanie się i odciągnięcie za sobą Ogrum.

Zaczęli się wycofywać. Z hangaru dobiegał coraz głośniejszy ryk płomieni. Budynek zbudowany był z kamienia i ściany nie chciały się palić. Skaczące języki ognia wylewały się jednak z otwartych drzwi.

Przez kilka minut po rozpoczęciu ataku, ze świątyni ciągle dobiegały uderzenia bębna. W momencie kiedy rozległa się pierwsza eksplozja, bicie w bęben osłabło i zgubiło na chwilę rytm. Potem wyrównało się i nadal trwało. Ale kolejne nieustanne eksplozje spętały rękę uderzającego.

W końcu bęben przestał walić. Ogrum zaczęli wylewać się strumieniami ze świątyni. Księżyc jeszcze nie wzeszedł. Jedynego oświetlenia dostarczał tylko płonący hangar. W jego blasku Craig widział tłumy zaskoczonych potwornych ludzi, wybiegających z każdego wyjścia świątyni.

Przez kilka minut, kotłowali się w zamieszaniu. Stało się coś, czego w ogóle nie przewidywali. W najmniejszym stopniu nie potrafili zrozumieć eksplozji, jakie słyszeli, i nie byli w stanie pojąć, co się dzieje z ich hangarem.

W końcu jak się wydaje zrozumieli, że zostali przez kogoś zaatakowani, oraz że wróg się wycofuje. Żądła rozbłysków ognia z karabinów maszynowych wyraźnie wskazywały kierunek ucieczki nieprzyjaciół.

Rozwścieczeni Ogrum zaszarżowali na wroga.

Równocześnie jednak po przeciwległej stronie miasta, zaczęły pojawiać się punkciki światła. Miejsca, w których tańczące ogniki przeskakiwały z jednej kurnej, krytej strzechą chaty, na drugą kurną chatę, pozostawiając na nich za sobą coraz liczniejsze narośle światła.

Nad dalej położonym krańcem miasta, niebo zaczęło robić się coraz jaśniejsze.

Tłumy Ogrum, oszołomionych przez ten nowy spektakl, zatrzymały się w konsternacji. Ich miasto stało w płomieniach. Nie rozumieli jak to się mogło stać. Zaczęli pośpiesznie biec w stronę ognia.

– Faza pierwsza i druga ataku, zostały właśnie zakończone – powiedział Craig do swoich czekających w pogotowiu ludzi. – Rozpoczynamy wobec tego fazę trzecią. Idziemy. Teraz nadeszła kolej na nas.

Atak na hangar, a następnie wycofanie się, oraz podpalenie miasta, zostały wykonane perfekcyjnie. Po drugiej stronie miasta oddział marynarzy z pochodniami, ciągle jeszcze podpalał strzechy kolejnych kurnych chat. Ta grupa również zaczynała się już wycofywać, odciągając za sobą całe tłumy Ogrum.

– Atak zakończył się sukcesem! – z radością pomyślał Craig. – Spaliliśmy im samoloty i wznieciliśmy płomienie w całym mieście. Zanim w ogóle zorientują się, co się stało, uratujemy trzymanych w świątyni więźniów. Wygraliśmy! – Ta myśl płonęła w jego umyśle. – Wygraliśmy! Śmierdziel, Margy i chłopaki z Idaho za chwilę znowu będą wolni!

Marynarze z Craigiem na czele utworzyli klin, który posuwał się prosto w stronę tej części świątyni, w której przetrzymywani byli więźniowie. Aby ich uratować, musieli się wedrzeć do serca wielkiej budowli.

Starożytna rzymska falanga, ta straszliwa masa ludzi, która wlewała taki strach w serca barbarzyńców, musiała wyglądać mniej więcej tak samo, jak klin przemieszczających się przez miasto Ogrum marynarzy. Rzymianie uzbrojeni byli co prawda we włócznie, miecze i tarcze, podczas gdy marynarze mieli pistolety maszynowe i granaty, ale efekt był podobny –– twardo nacierający oddział ludzi, którego nic nie było w stanie zatrzymać.

Ogrum nie spodziewali się tego ataku. Byli zajęci próbami ugaszenia ognia szalejącego w ich mieście. Nie napotykając więc żadnego oporu, jakiegokolwiek rodzaju, i rozwalając tylko pojedynczych Ogrum, którzy przypadkowo pojawiali im się na drodze, marynarze parli prosto do świątyni –– wdzierając się do środka! Jak doskonale wyszkolony zespół, wykonujący długo ćwiczony manewr, silna straż tylnia zajęła stanowiska

przy wejściu. Craig, ruszając w głąb świątyni, nie miał zamiaru zostawić swoich tyłów bez ochrony. Zabezpieczył więc sobie drogę odwrotu, tak by nie było ryzyka odcięcia.

Na wielkiej arenie znajdowała się garstka odzianych na żółto strażników, otaczających basen bulgocącej gorącej lawy. Wszyscy pozostali Ogrum opuścili świątynię.

– Zastrzelić ich! – ponurym tonem rozkazał Craig.

W budowli, która prawdopodobnie była pierwszą świątynią słońca, jaką zbudowano na Ziemi, zahuczały serie strzałów z karabinów maszynowych! Gorący ołów ze świstem pomknął w dół, w stronę strażników stojących wokół basenu z lawą. Kiedy marynarze zobaczyli jednego z ludzi, związanego i gotowego do złożenia jako żywa ofiara, ohydnej białej bestii, która zawsze była głodna, świątynni kapłani utracili ostatnie, co prawda niewielkie, szanse jakie mieli na to, że zostaną wzięci żywcem.

Właśnie została przygotowana ofiara. Marynarze przybyli naprawdę w ostatniej chwili.

Dwie minuty po tym, jak marynarze wkroczyli do świątyni, na wielkiej arenie w samym środku budowli, nie pozostał już przy życiu żaden z odzianych w żółte szaty kapłanów. Craig rozbijał drągi kraty celi, w której zamknięci byli więźniowie. Za drążkami czekał kapitan Śmierdziel Higgins. Obok niego stała Margy Sharp. Higgins miał na twarzy bardzo dziwny wyraz.

– Dobry Boże, Craig… – to wszystko co był w stanie powiedzieć, kiedy rozleciały się pręty kraty. Kiedy kapitan chwycił go za rękę, Craigowi zdawało się, że pękają mu palce.

Twarz dziewczyny była pastelowo biała, ale utrzymywała swoje nerwy na wodzy.

– Doktor Livingstone, jak sądzę? – powiedziała, spoglądając na Craiga. Potem nogi się pod nią załamały i równie cicho jak przemieszczający się cień, osunęła się na podłogę.

– Nie, nie. Z nią wszystko w porządku – stwierdził Higgins w odpowiedzi na szaleńczą lawinę pytań Craiga. – Po prostu zemdlała. Ona… my wszyscy tutaj… przeszliśmy przez prawdziwe piekło. Te przeklęte bestie, weszły tutaj do środka i złapały jednego z ludzi. Widzieliśmy wszystko. Byli już gotowi do wrzucenia go, do tego basenu z lawą. Craig, jak się tutaj dostałeś?

Kapitan Higgins był najwyraźniej mocno oszołomiony. Za jego plecami jeńcy wylewali się strumieniami ze swoich więziennych cel.

– Nie ma teraz czasu na opowiadania – pośpiesznie powiedział Craig. – Musimy natychmiast się stąd wynosić. Każdy z nas przyniósł dodatkowy karabin i tyle granatów, ile tylko był w stanie unieść. Będziemy musieli wywalczyć sobie drogę z powrotem w góry…

Już wcześniej marynarze zaczęli rzucać karabiny swoim kolegom, którzy byli w niewoli. Wyraz jaki mieli na twarzach ludzie, gorliwie chwytający broń, nie wróżył niczego dobrego każdemu Ogrum, który

miałby zamiar próbować zatrzymać ich w trakcie ucieczki. W międzyczasie Craig i Higgins ocucili Margy Sharp. Mężczyzna, który był przygotowywany przez Ogrum do złożenia w ofierze, został uwolniony z więzów.

– Wszyscy na zewnątrz! – krzyknął Craig.

Długim rzędem, marynarze potruchtali w stronę przejścia przez świątynię, prowadzącego do wyjścia z niej. Kiedy już znajdą się na zewnątrz, mieli uformować swój szyk i wywalczyć sobie drogę przez każde opierające im się siły, jakie mogłyby zostać zorganizowane przez wroga. Od strony tylnej straży, pozostawionej przy wejściu nie dochodziły żadne odgłosy walki, co świadczyło o tym, że Ogrum nie zorientowali się jeszcze w sytuacji. Nie wiedzieli, że ich jeńcy zostali uwolnieni.

– Wygraliśmy! – ochrypłym głosem stwierdził Craig. – Oszukaliśmy te diabły i zbiliśmy ich na miazgę.

– Dokonałeś cudu – przytaknął kapitan Higgins. – Jeżeli uda nam się jakoś wrócić do domu, należy ci się za to Medal Kongresu.

– Dzięki! – uśmiechnął się wielki mężczyzna. Po chwili jednak szeroki uśmiech zniknął z jego twarzy. – Co to jest? – rzucił ostro.

Ze znajdującego się przed nimi przejścia, dobiegał ostry metaliczny grzechot ognia z broni maszynowej.

– To nasza tylna straż przy wejściu! – zameldował jeden z marynarzy. – Strzelają do czegoś.

Craig rozkazał, aby rząd marynarzy zatrzymał się, a następnie on i Higgins prześlizgnęli się obok nich do przodu, w stronę wyjścia. Przez służącą jako otwór wejściowy dziurę, już z daleka zobaczyli wlewającą się przyciemnioną poświatę. Tylna straż schroniła się w samym przejściu. Korytarzem podbiegł w ich kierunku, potykający się chorąży.

– To jest pułapka! – krzyknął do nich. – Całe to miejsce jest otoczone. Tam na zewnątrz czekają na nas tysiące Ogrum. Celowo pozwolili nam przedostać się do świątyni, a potem zamknęli wokół niej pierścień okrążenia.

– Niemożliwe! – wyszeptał z niedowierzaniem Craig.

– Tak mi dopomóż, to jest prawda – upierał się chorąży. – Celowo schwytali nas w pułapkę. Musieli dokładnie wiedzieć, co mamy zamiar zrobić, ze wszystkimi szczegółami. Potem pozwolili nam tego spróbować. Siedzimy teraz jak szczury, w pułapce.

Nie było żadnych wątpliwości, co do konsekwencji słów tego człowieka. Chociaż tego jasno nie powiedział, ton głosu chorążego wyraźnie wskazywał, że w jego opinii Craig wprowadził ich w najgorszą możliwą, najgłupszą pułapkę.

Karabiny maszynowe nadal strzelały. Z zewnątrz dobiegały ledwie słyszalne, stłumione przez kamienne ściany budowli, chóralne wrzaski –– okrzyki bitewne Ogrum. Craig prześlizgnął się naprzód, do samego wejścia i wyjrzał na zewnątrz. Serce podeszło mu aż do gardła.

Świątynia była całkowicie otoczona. Albo raczej, o ile mógł dojrzeć, była otoczona. Sądząc jednak po liczbie Ogrum, jaka znajdowała się przed

nią, nie miał wątpliwości, że cała budowla znalazła się w okrążeniu. Ogrum porzucili walkę z pożarem. Oczywiste się stało, że nigdy nie czynili żadnych prawdziwych wysiłków, żeby go opanować, a jedynie udawali tylko, że próbują gasić płomienie, podczas gdy naprawdę czekali na to aby Craig wprowadził swoją grupę do świątyni.

To jednak *była* pułapka.

Ale jakim sposobem Ogrum byli w stanie zorganizować coś takiego? Czy wiedzieli oni przez cały czas, o obecności ludzi w okolicznych górach? Musieli się czegoś dowiedzieć. W przeciwnym razie, nie mieliby przecież możliwości przygotowania pułapki. Skąd oni mogli poznać dokładne plany przeprowadzenia dzisiejszego ataku?

– Hej! – ostro pisnął jakiś głos z zewnątrz. – No i jak ci się to wszystko teraz podoba? Co, ty wielki mózgowcu?

To był głos Voronoffa! Tam był Voronoff! Pierwsza, oszołomiona myśl Craiga, jaka przeleciała mu przez głowę, mówiła, że obecność Voronoffa tam na zewnątrz, pomiędzy Ogrum, jest kompletnie niemożliwa. Próbował sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widział tego człowieka. Nie widział Voronoffa przez cały dzień! Voronoff nie był członkiem jego grupy, ale założył, że mężczyzna przyłączył się do któregoś z innych oddziałów!

Voronoff nie przyłączył się do żadnej z pozostałych grup. Voronoff potajemnie przekradł się do Ogrum. To właśnie Voronoff był człowiekiem, który wyjawił im, na tyle przynajmniej, na ile były mu znane, plany ataku na Ogrum. To Voronoff był zdrajcą!

– Nie chciałeś mi uwierzyć, kiedy mówiłem, że twoje działania nas wszystkich po prostu pozabijają! – napawał się radością Voronoff. – Ja nie miałem zamiaru ginąć, przez te twoje głupoty! Powiedziałem Ogrum o wszystkim, co planujesz. Oni mają zamiar zrobić mnie wodzem.

W jednej chwili Craig zrozumiał, dlaczego pierwsza i druga faza ataku, poszły im tak gładko. Ogrum pozwolili na zniszczenie hangaru. Jakie znaczenie miało parę samolotów? Mogli zbudować kolejne. A jakie znaczenie miało parę chat ze słomy? Mogli zbudować tysiące innych. Zniszczenie samolotów i spalenie części ich miasta, było niewielką ceną za to by mogli schwytać w pułapkę wszystkich pozostałych ludzi z Idaho.

Craig przeklął swoją głupotę. Nawet nie pomyślał o takiej możliwości, że ktoś może stać się zdrajcą. A przecież powinien to zrobić. Dawno temu, w szalupie ratunkowej, w czasie kiedy on spał, ktoś ukradł wodę. Voronoff był jedyną osobą, zdolną do tego, żeby ukraść wodę, w sytuacji kiedy woda oznaczała życie, i jedyną osobą na tyle sprytną, aby oskarżyć Craiga o zbrodnię, którą popełnił on sam.

– Powinienem udusić tego psa na śmierć! – gorzkim tonem wyrzucał sobie Craig. – Powinienem rzucić go rekinom na pożarcie.

Do wyjścia podszedł kapitan Higgins i zapoznał się z sytuacją.

– Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem – powiedział do Craiga. – Wcale cię nie winię za to, że nie pomyślałeś o możliwości zdrady, i jak mi się wydaje nikt inny też nie będzie cię winił. Pytanie, na które musimy sobie odpowiedzieć, brzmi, co teraz zrobimy.

– Czego chcesz? – krzyknął przez wejście Craig.

– Ogrum żądają bezwarunkowej kapitulacji! – doleciała odpowiedź. – Obiecali, że jeżeli się poddacie, to połowa z was zostanie złożona w ofierze bogom, ale życie drugiej połowy, zostanie oszczędzone. Kto zostanie złożony w ofierze, a komu zostanie darowane życie, zdecyduje się przez losowanie. Jeżeli nie poddacie się teraz, wszyscy zostaniecie wzięci do niewoli i złożeni w ofierze. Macie piętnaście minut na spełnienie naszych żądań.

Głos Voronoffa umilkł i zapadła cisza. Craig z gotowym do strzału pistoletem maszynowym, wytężał oczy, próbując dostrzec mężczyznę. Voronoff jednak dobrze się ukrył. Nie miał ochoty służyć jako cel.

– I co masz zamiar teraz zrobić? – spytał kapitan Higgins. Taktownie, ponieważ to Craig zaplanował i zrealizował tę próbę ratunku, Higgins nie wykonał żadnego kroku, aby narzucić mu swoje dowództwo. – O ile dobrze wszystko zrozumiałem, jeżeli się poddamy, oferują połowie z nas szanse na przeżycie.

– Nie wierzę, że dotrzymają jakiejkolwiek obietnicy, którą nam teraz składają – powoli stwierdził Craig. – Wydaje mi się, że przy pomocy tej kapitulacji próbują nas tylko oszukać. Jednak, oczywiście, mogę się mylić. Chciałabym urządzić w tej sprawie głosowanie. A co wy powiecie: Powinniśmy się poddać, czy walczyć dalej?

Wąskie przejście było pełne marynarzy, którzy słyszeli wszystko co zostało przed chwilą powiedziane. Przez moment panowała cisza. Potem jakiś burkliwy głos, krótko warknął:

– Ja mówię, walczyć!

Pierwszemu głosowi, zawtórował natychmiast cały chór:

– Walczyć z diabłami!

– Jeżeli się poddamy, to oni nigdy nie dadzą nam żadnej szansy przeżycia.

– Wywalczmy sobie siłą drogę wyjścia!

Kapitan Higgins przysłuchiwał się temu.

– To dobre chłopaki – powiedział, a w jego głosie zabrzmiało podejrzane drżenie.

– W porządku – oznajmił Craig. – Będziemy walczyć. Ta świątynia jest prawie jak twierdza. Tutaj w środku, możemy ich powstrzymywać przez niemal nieokreślony czas. Przecież nie mają artylerii, czyli nie mogą nas wysadzić w powietrze, a ich samoloty zostały zniszczone, tak więc nie mogą nas też zbombardować. Wytrzymamy tutaj, dopóki nie pojawi się jakaś szansa ucieczki.

Gdzieś na dnie jego umysłu, ciągle tliła się nadzieja, że jednak *będą* mieli szansę na ucieczkę. Pomimo wszystko nie rozpoczęła się jeszcze realizacja fazy czwartej planu ataku. W tym momencie, faza czwarta mogła rozpocząć się już dosłownie w każdej chwili.

– Na dach! – rozkazał.

Poświęcając pięć minut z podarowanego im czasu, wszyscy znaleźli się na płaskim dachu świątyni. Księżyc właśnie wschodził. Wyglądał, jak szalejący na horyzoncie ogromy pożar.

– Czas minął! – wrzasnął Voronoff, dobrze ukryty w jakimś miejscu. – Co zdecydowaliście?

– Zdecydowaliśmy, że możesz iść do diabła! – odkrzyknął Craig. – Jeżeli chcecie nas mieć, to musicie tutaj wejść i wziąć nas siłą.

Dookoła można było dostrzec niewyraźne w mroku nocy postaci, tysięcy wojowników Ogrum, kryjących się wokół świątyni. Kapitan Higgins przyjrzał się sytuacji.

– Panujemy nad wszystkimi podejściami do budynku – stwierdził po chwili. – Jeżeli spróbują nas zaatakować, urządzimy im rzeź. Ciągle jeszcze mamy szanse, Craig.

– Masz cholerną rację, że mamy! – odparł wielki mężczyzna.

– Nie licząc – kontynuował z zamyśleniem kapitan, – zapasów amunicji, jedzenia i wody, to jest z nami całkiem nieźle.

– Zapasów na trochę wystarczy. I tak jeżeli nie wydostaniemy się stąd wcześniej, to w ogóle się nie wydostaniemy – zauważył Craig. – Wydaje mi się jednak, że najpóźniej za jakąś godzinę powinniśmy być wolni.

– Mam nadzieję, że wiesz o czym mówisz – był to jedyny komentarz Higginsa.

Ogrum nie podejmowali żadnej próby ataku. Craig krążył po dachu świątyni, sprawdzając czy strefy ostrzału karabinów maszynowych pokrywają wszystkie drogi podejścia. Wiatr, zawiewający od strony bagien, niósł ze sobą głosy dinozaurów. Cała sceneria wyglądała jakby z jakiegoś filmu fantastycznego –– księżyc w pełni, płonący nad horyzontem jak potężny ogień, niesamowite bestie ryczące w mrokach nocy, grupa porozstawianych do walki ludzi, na dachu świątyni, równie pradawnej jak sam czas.

– Mamy ich! – pomyślał sobie Craig. – Wiedzą, że nie mogą się do nas dobrać, i nie ośmielą się zaatakować. Jeżeli tylko zaczekają chociaż godzinę…

W jakimś niewidocznym miejscu poza świątynią, coś zrobiło *plunk*. Dźwięk nie był na tyle ostry, aby można nazwać go eksplozją. Zabrzmiało to po prostu *plunk*, jak kamień wpadający do beczki pełnej deszczówki.

Mały okrągły przedmiot powoli zatoczył w powietrzu łuk i uderzył w dach świątyni. Potem ponownie zabrzmiało *plunk*. Nie był to wybuch. Po prostu *plunk*. Z leżącego na dachu przedmiotu rozeszła się chmura białego dymu.

– Co za diabeł? – zastanawiał się niezdecydowanie Craig. – Czy Ogrum rzucają w nas granatami? Czy ten granat był niewybuchem?

Ruszył w stronę granatu. Powiew dymu ukłuł go w nozdrza, powodując że w jego mózgu szaleńczo rozdzwoniły się ostrzegawcze alarmy.

– Gaz! – wrzasnął na cały głos. – Rzucają w nas granatami gazowymi. Trzymać się z dala od tego dymu!

Ogrum przecież zaatakowali Idaho gazem usypiającym! Strażnicy świątyni nosili torby, w których, jak myślał Craig, mieli zwykłe granaty. To były granaty gazowe!

Plunk zabrzmiał ponownie wyrzutnik granatów koło świątyni. *Plunk*, wybuchnął kolejny granat, który uderzył w dach.

Plunk, *plunk*, *plunk* –– nadleciał cały deszcz granatów. Nad dachem świątyni zawirowały kłęby gazu.

– Zniszczyć te wyrzutniki! – zawołał Craig. Doskoczył do ściany świątyni i zaczął strzelać. Wszędzie dookoła niego do akcji weszły pozostałe karabiny. Dotychczas priorytetem było jak największa oszczędność amunicji. Ale jeżeli wyrzutniki nie zostaną zniszczone, żadne zapasy amunicji do niczego się już ludziom nie przydadzą.

Ostry grzechot karabinów maszynowych, zabrzmiał nieustannym hałasem i jazgotem. W mieście ciągle szalały płomienie, i powietrze stało się ciężkie od dymu. Wszędzie dookoła świątyni czaili się Ogrum. Nie ryzykowali wyjścia na otwartą przestrzeń. Jedynie od czasu do czasu można było ich dostrzec, jak przeskakują z jednej kryjówki do drugiej.

Plunk… plunk… plunk…

Na dach spadały kolejne granaty.

Gdzieś w pobliżu siebie, Craig usłyszał, jak jeden z ludzi krztusi się i łapie oddech ciężko sapiąc. Zewsząd, przebijając się nawet przez grzechot karabinów maszynowych, zaczęły do niego dolatywać odgłosy kaszlu walczących marynarzy. Coś ukłuło go w płuca i sam zaczął także kaszleć. Ogień karabinów maszynowych zaczął się przerzedzać, w miarę jak kaszlący ludzie odrzucali swoją broń. Craig stwierdził, że strzela zupełnie na ślepo, na próżno szukając ukrytych wyrzutników. W jego uszach głośnym echem odbijało się *plunk* kolejnych granatów gazowych.

– Kiepskie szczęście – odezwał się koło niego jakiś cichy głos.

Rozejrzał się dookoła i zobaczył Margy Sharp. Dziewczyna trzymała chusteczkę przy nosie i próbowała jak najrzadziej oddychać. Zataczała się na nogach.

– Czuję się, jakbym miała ochotę pójść spać – wyszeptała.

Gaz dostał się jej do płuc. Z wolna dopadał również i innych. Wielu marynarzy przewróciło się i leżało bezwładnie. Niektórzy z nich próbowali podczołgać się z powrotem do krawędzi dachu, próbowali przyłożyć karabiny do ramienia, rękoma, które nie miały już siły aby wykonać to zadanie.

– Stoczyliśmy całkiem niezłą walkę – szepnęła Margy Sharp. – Szkoda tylko, że przegraliśmy.

– Jeszcze nie przegraliśmy – zazgrzytał zębami Craig.

Okłamywał ją i zdawał sobie z tego sprawę. Jego jedyną nadzieją była czwarta faza ataku. Ale jeżeli faza czwarta nie rozpocznie się w przeciągu kilku następnych minut, to będą skazani na zagładę.

– Co u diabła stało się z Michaelsonem? – rozpaczliwie myślał.

Plunk, *plunk*, *plunk*, wybuchały kolejne granaty.

Czyżby naukowiec zawiódł jego nadzieje? Czy z Michaelsonem coś się stało?

W ciemnościach nocy rozbrzmiewały ohydne wrzaski Ogrum. Czując już pewne zwycięstwo, skrzeczeli z zachwytu. W międzyczasie, na całej powierzchni dachu świątyni eksplodowały kolejne granaty gazowe. Leciutki wietrzyk, który z czasem wzmógł się nieco, do poziomu stałego podmuchu, zwiewał większość gazu. Ale nie wszystek. Wystarczył jeden haust i człowiek tracił połowę swojej sprawności działania. Trzy hausty i już spał.

Do stóp Craiga podczołgał się jakiś człowiek w mundurze oficerskim, i popatrzył na niego do góry. To był kapitan Higgins.

– Wy… wydaje mi się, że to koniec – powiedział kapitan.

– Również tak myślę – słabo odparł Craig. Gaz ponownie zaczął drapać go w płucach i zakasłał. Powoli, kroczek za kroczkiem, czuł jak śmiertelne zmęczenie kładzie się na nim cieniem. Jakiś ciężar zawisł mu na kolanach, próbując zmusić jego nogi do ugięcia. Bardziej niż cokolwiek innego, pragnął się położyć i zasnąć. Z całych sił walczył z tym uczuciem. Z tego groźnego snu człowiek co prawda się obudzi –– ale w więziennej celi Ogrum, gdzie będzie czekał na to aby stać się ofiarą składaną słońcu.

Dwa, czy trzy karabiny maszynowe –– nie więcej –– ciągle jeszcze strzelały, utrzymując hordę Ogrum na zewnątrz. Kiedy te karabiny również ucichną…

Płomienie palącego się miasta tańczyły pośród nocy. Powietrze było ciężkie od dymu. Ryki dinozaurów robiły się coraz głośniejsze, tak jakby pożar w mieście Ogrum również podniecił te olbrzymie zwierzęta. Craig już tylko mgliście uświadamiał sobie, że strzelają jeszcze jedynie dwa karabiny. Pomimo wszystkich podejmowanych wysiłków, aby oprzeć się przygniatającemu go uczuciu, upadł na kolana. Granaty nieustannie robiły swoje *plunk* na dachu. Strzelał już tylko jeden karabin. Craig zauważył, że leżąca obok niego Margy Sharp, spokojnie zasnęła. Wyglądała jak mała dziewczynka, która strasznie zmęczyła się zabawą, i w końcu postanowiła położyć się troszeczkę i zdrzemnąć.

Bum! *Bum*! *Bum-bum-bum*!

Pięć głuchych grzmotów ciężkich eksplozji wyrwało się z głębin nocy, Nie dobiegały ze świątyni, ani z jej pobliża. Ich źródło położone było co najmniej pół mili od niej.

Ten dźwięk poderwał Craiga na nogi.

– Michaelson! – krzyknął na całe gardło. Próbował popatrzeć w kierunku, z którego dobiegły odgłosy wybuchów. Dym jednak był zbyt gęsty. Niczego nie mógł dojrzeć.

– Michaelson… – tym razem jego głos przeszedł niemal w szept. – Na miłość Boską, pośpiesz się!

Nie było żadnej odpowiedzi. Craig ciągle czekał. Nie było słychać kolejnych eksplozji. Upadł na kolana, walcząc z uczuciem senności. Tylko mgliście uświadomił sobie w pewnej chwili, że wrzaski Ogrum urwały się, raptownie przechodząc w zupełną ciszę. Granaty przestały plunkać na dachu. Zastanawiał się, czy Ogrum przygotowują się do ataku na

świątynię, do przełamania oporu tych, którzy mieli jeszcze siły z nimi walczyć. Podniósł się ciężko i popatrzył przez krawędź dachu.

Ogrum już nie patrzyli na świątynię. Wpatrywali się w kierunku z którego słychać było wcześniej wybuchy. Niektórzy wyszli na otwartą przestrzeń. Zauważył ich niewielkie grupki, które nerwowo rozglądały się we wszystkie strony.

Usłyszał nagle stłumiony, dobiegający gdzieś z dużej odległości, stopniowo rozpoczynający się i narastający odgłos grzmotu. Było to coś podobnego, do niewyraźnego jeszcze na razie huku ruszającej lawiny, rumor, mamrotanie, przyciszony pomruk z każdą chwilą robiący się coraz głośniejszy. Dym był ciągle zbyt gęsty, aby mógł przebić go wzrokiem i zobaczyć co tam się dzieje.

Pomruk coraz bardziej narastał, stawał się coraz wyraźniejszy. Zrobił się już taki głośny, jak ryk trąby powietrznej. Ogrum wpatrywali się w jego stronę, próbując zrozumieć, co to jest. Teraz zaczęli robić się coraz bardziej nerwowi. Kilku spośród nich ruszyło do ucieczki.

Coś przedarło się przez dym. W szaleńczym galopie wypadło z niego olbrzymie, straszliwie przerażone zwierzę. Zobaczyło przed sobą ognie. Z rykiem próbowało zawrócić. Ale napór reszty hordy poniósł je ze sobą do przodu.

Skłębiona masa ciemnych ciał wlała się do miasta. Były ich całe setki, tysiące. Wystraszone i doprowadzone do granic szaleństwa, ich głowy wypełniała jedyna myśl: uciec stąd jak najszybciej. Najmniejsze z nich, ważyły ponad dwie tony.

Craig walcząc z efektami użycia gazu, zaszlochał w nagłej uldze.

– Michaelson – wyszeptał. – Dotarłeś tu w samą porę. Zrobiłeś to! Zrobiłeś to…

Faza czwarta ataku, właśnie się rozpoczęła. Faza czwarta, zorganizowana przez Guru i naukowca, którzy mieli obejść dookoła olbrzymie bagniska, i wzniecić na nich potężny pożar. Część roślinności porastającej bagna, nie zapaliłaby się w żadnych okolicznościach. Ale wielkie obszary pokryte suchymi trzcinami, płonęły jak papier.

Dinozaury uciekały przed ogniem. Płomienie zostały wzniecone w taki sposób, aby zmusić te olbrzymie potwory do ucieczki w stronę miasta Ogrum. W odpowiednim momencie, wielki kamienny mur, który Ogrum zbudowali aby powstrzymać dinozaury przez wtargnięciem do miasta, wyleciał w powietrze.

Dinozaury ruszyły w szalonym popłochu poprzez miasto.

Craig pamiętał, że czytał kiedyś o stampede, szaleńczych popłochach wśród długorogiego bydła, dawno temu w pionierskich czasach amerykańskiego Dzikiego Zachodu. Tysiące sztuk bydła, oszalałe ze strachu, biegło wstrząsając ziemią, z grzmotem racic, niszcząc wszystko co stanęło im na drodze.

Przez miasto Ogrum gnały w popłochu nie krowy, ale dinozaury.



Ogrum za późno dostrzegli, że się zbliżają. Próbowali uciekać przed nimi. Wielkie bestie rozdeptywały ich na miazgę. Chaty uderzane przez rozszalałe zwierzęta, rozpadały się w kawałki. Wiele ze zwierząt, oślepionych pyłem i kurzem, nie wiedziało gdzie biegnie i wpadało na świątynię. Potężny budynek drżał przy każdym takim zderzeniu. Voronoff, złapany przez to szalone stampede gdzieś na zewnątrz, musiał poniewczasie zorientować się, że za wcześnie zdezerterował, zanim udało mu się poznać kompletny plan ataku. Albo nie wiedział o czwartej fazie ataku, albo Ogrum mu nie uwierzyli, kiedy im o niej opowiedział.

Craigowi zdawało się, że wrzaski Ogrum odbijały się echem po mieście, przez całe godziny. Wrzaski tonęły we wstrząsającym ziemią grzmocie stampede. Horda dinozaurów przemierzyła całe miasto, widząc wyrastające przed nią góry skręciła i pomknęła wzdłuż skraju zatoki. W chwili, kiedy ostatnie z nich przewaliły się koło nich, jedynym budynkiem, który ciągle stał na całym obszarze miasta, była świątynia. Tlące się płomienie ponownie rozpaliły się w zniszczonym rumowisku chat. To co rozpoczęły dinozaury, dokończyć miał ogień.

Kiedy ostatnie ze zwierząt już znikły, z ciemności wypadł Michaelson, Guru, oraz towarzyszący im oddział marynarzy. Guru towarzyszyło kilkudziesięciu jego rodaków, pośpiesznie zebranych do wykonania zadania podpalenia bagna. Craig zawołał ich z góry.

– Wejdźcie tu na górę i stańcie na straży! – krzyknął. – Ja mam zamiar trochę się zdrzemnąć.

Rozdział VIII

Koniec przygody

Craig stał przy relingu statku.

Słońce właśnie zachodziło i długie cienie zmierzchu kładły się na świecie. Obok Craiga stał Michaelson. Jak zwykle naukowiec był bardzo podekscytowany.

– Ogrum stanowili dziwny przypadek niezrównoważonego rozwoju – oznajmił Michaelson. – Wiesz kim oni byli?

– Diabłami – odburknął Craig. Nie był za bardzo zainteresowany tym co miał do powiedzenia naukowiec.

– Chemikami! – tryumfalnie ogłosił Michaelson. – Na skutek jakiegoś kaprysu natury, stworzyła ona rodzaj istot żywych, których umysłowość nakierowana była na to, aby stały się one wspaniałymi chemikami, ale miały tylko niewielkie zdolności, jeżeli w ogóle, w jakimkolwiek innym kierunku. Kwas, którego użyli do uszkodzenia Idaho, wynaleziony przez nich gaz, wszystko to składa się na konkluzję, że oni byli chemikami. Z tego co pozostało w ich hangarze, dowiedzieliśmy się, że ich samoloty były wytwarzane z plastiku –– nie było w nich ani grama metalu. Nawet znajdujące się w nich poniszczone silniki wyglądały jakby zostały wyprodukowane z plastiku. Ogrum nie mieli pojęcia o kole, łukach, albo architekturze. A jednak byli niemal perfekcyjnymi chemikami.

Naukowiec wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie, z powodu dokonania tego odkrycia.

– Gdybyś nie zniszczył ich świątyni, może znaleźlibyśmy tam więcej informacji na ich temat – stwierdził oskarżycielskim tonem.

O świcie, następnego dnia po walce, przeprowadzone zostało systematycznie niszczenie całego miasta. W świątyni umieszczono ładunki złożone z setek granatów, i została ona doszczętnie zburzona.

– Tu chodzi o przetrwanie – odparł Craig. – Musimy żyć w tym świecie, a on nie jest na tyle duży, aby pomieścić i nas, i Ogrum. Pewnie, że zniszczyłem ich miasto. Niektórzy z nich prawdopodobnie zdołali utrzymać się przy życiu i uciec. Nie mam zamiaru pozostawić tym szczurom żadnego gniazda, w którym mogliby ponownie zebrać się razem.

– No dobrze, pewnie że miałeś rację, co do tego – przyznał naukowiec. – Ja tylko powiedziałem, że chciałbym się o nich więcej dowiedzieć.

– Ja wiem o nich już tyle, że wystarczy mi aż do końca życia – gorzkim tonem stwierdził Craig. – Och, cześć.

Te ostatnie słowa zostały skierowane do dziewczyny, która wyszła spod pokładu, i również podeszła do relingu.

– Dobry wieczór – odparła. Nic więcej nie powiedziała, tylko stanęła przy barierce i wpatrywała się w gęstniejący zmrok. Craig również milczał.

– Powinienem przynajmniej dowiedzieć się, jak działają te ich bezgłośne silniki do samolotów – kontynuował wątek Michaelson.

– Słucham? Co powiedziałeś? – spytał go Craig.

– Nie słuchałeś mnie – oskarżycielskim tonem stwierdził naukowiec. Poprawił sobie okulary i powiódł wzrokiem wzdłuż relingu, do miejsca w którym stała Margy Sharp. – Acha, zrozumiałem – dodał.

– Co takiego zrozumiałeś? – wyzywająco rzucił Craig, szeroko się uśmiechając.

– Zrozumiałem, że moja obecność nie tylko że nie jest już dłużej niezbędna, ale wręcz niepożądana. – Naukowiec uśmiechnął się i sobie poszedł.

Zmierzch opadał coraz niżej. Craig nie był tak do końca pewny, jak to się stało, że on i dziewczyna znaleźli się nagle jakoś dużo bliżej siebie.

– Margy… – powiedział. – Co do tej wody, wtedy w szalupie…

– Ach, to – odparła dziewczyna. – Jeżeli to cię martwi, to rozmawiałam o tej sprawie z panią Miller. Wtedy w nocy, kiedy zniknęła woda, przez większość czasu nie spała. Powiedziała, że nie jest tego do końca pewna, ale wydawało jej się, że widziała jak ktoś czołgał się na dziób łodzi i obsłużył się, wtedy kiedy ty spałeś.

Craig westchnął. On przez cały czas wiedział, że nie wziął tej wody. Ważne było, że teraz Margy również o tym wiedziała.

– Popatrz – powiedział Craig, wskazując ręką w kierunku linii brzegowej, – tam jest cały nowy świat do odkrycia, nowe ziemie, nowe miejsca. Czekają tylko, aby udać się do niech i je zbadać. Ten cały świat, każda jego piędź, są nasze. Możemy odkrywać je razem…

– Nasze? – dopytywała się dziewczyna, a jej głos był zupełnie cichutki.

– Tak – odparł Craig. – To jest, chciałem powiedzieć… Margy… No cóż, kiedyś powiedziałaś, że my we dwoje jesteśmy do siebie podobni…

– Myślę – spokojnie oświadczyła dziewczyna, – że kapitan Higgins ma wystarczające uprawnienia, aby uczynić z nas *jedność* podobnych do siebie, jeżeli to właśnie próbujesz mi powiedzieć.

– To – wykrzyczał Craig, – jest dokładnie to, co próbuję ci powiedzieć!

Zmierzch pogłębił się, zmieniając się w mrok. Stali mocno przytuleni do siebie. Nic nie mówiąc, spoglądali w kierunku brzegu, w kierunku olbrzymiego, dziwnego, nowego lądu, na którym nigdy nie stanęła jeszcze

stopa człowieka. Craigowi przemknęło przez głowę, że ta dziwna przygoda w czasie, niemal już się zakończyła. Potem jednak, myśląc o tych nowych ziemiach, które będą mogli odkrywać jego synowie i wnukowie, pomyślał sobie, że ta przygoda nigdy się nie skończy. Ona zawsze będzie się właśnie rozpoczynać.

KONIEC